



LORI COPELAND



***Najciemniej jest pod
latarnią***

ROZDZIAŁ PIERWSZY



- Nie przyjąłem tej pracy, babciu - oznajmiła Temple Burney. Rozpierała ją duma, którą człowiek odczuwa wtedy, kiedy nie ma cienia wątpliwości, że podjął właściwą decyzję.

Temple otrzymała propozycję przeniesienia się na trasy międzynarodowe i w pierwszej chwili ta możliwość bardzo ją podnieciła. Długie loty, większe pieniądze... Potem jednak dokładniej rozważyła ofertę i zmieniła zdanie. Praca stewardesy na wahadłowych rejsach linii lotniczych Sparrow* może i była pozbawiona blasku, ale Temple to nie przeszkadzało. Wcale nie marzyła o długich podróżach. Prawdę mówiąc, wolałaby ograniczyć wyjazdy do minimum. Ostatnio dręczył ją niepokój. Podejrzewała, że ma on coś wspólnego z jej zegarem biologicznym, który głośnym tykaniem przypominał, że czas ucieka nieubłaganie. Z zazdrością patrzyła na czule objęte pary zakochanych i coraz bardziej była przekonana, że też pragnie zaznać miłości i osiągnąć stabilizację, zanim będzie za późno.

Mogła sobie na to pozwolić. Umiała nieźle gospodarować zarobionymi pieniędzmi i jej majątek stale się powiększał. Rozejrzała się po niewielkim komfortowym mieszkanku, wprost idealnym dla samotnej kobiety. Lubiała to przytulne gniazdko, tym bardziej że w ciągu minionych lat serdecznie zaprzyjaźniła się z właścicielką budynku, w którym je wynajmowała.

** Sparrow - wróbel (ang.). Przyp. tłum.*

Roberta King przypominała Temple jej babcię. Rozpieszczała swoją lokatorkę jak rodzoną wnuczkę: częstowała domowymi wypiekami, stawiała jej na stole świeże róże z własnego ogródka, zapraszała na wieczorne pogwarki.

Temple zdała sobie sprawę, że najbardziej brakuje jej na co dzień właśnie domowej atmosfery. Po wczorajszej rozmowie z potencjalnym pracodawcą nagle dotarło do niej, na czym tak naprawdę jej zależy. W wieku trzydziestu jeden lat zrozumiała w końcu, że chce pozostać w Dallas, gdzie mieszkała w ciągu ostatnich pięciu lat, znaleźć odpowiedniego mężczyznę i nareszcie zapaść korzenie. Rozwój kariery mniej ją interesował. Być może miała staroświeckie poglądy, ale przede wszystkim pragnęła dobrego męża, domu i rodziny.

- Dlaczego zrezygnowałaś? - spytała babcia. - Myślałam, że zależy ci na awansie.

Temple zacisnęła dłoń na słuchawce telefonu.

- Początkowo rzeczywiście mi zależało, ale przemyślałam wszystko jeszcze raz i doszłam do wniosku, że praca na wahadłowych połączeniach bardzo mi odpowiada. Mam więcej czasu na życie prywatne. Gdybym przeniosła się na rejsy międzynarodowe, byłabym gościem we własnym domu.

- No cóż, Tootie, jesteś dorosła, kierujesz się własnym rozumem - ustąpiła babcia. - Czasami tak bardzo przypominasz mi twoją matkę. Też była nad wiek odpowiedzialna.

Mary Burney zmarła kilka lat temu na tętniaka mózgu. Babcia musiała zastąpić Temple całą rodzinę, gdyż od dawna nie miała ona również ojca, który był pilotem wojskowym i przepadł w Wietnamie po sławnej ofensywie Tet, kiedy córka skończyła zaledwie cztery latka. Matka

Temple po stracie męża stała się osobą zgorzkniałą, więc dziewczynka wyłącznie babci zawdzięczała pogodne i radosne dzieciństwo. Wiedziała, że nigdy jej tego nie zapomni.

Jack Burney od dwudziestu siedmiu lat znajdował się na liście zaginionych i Temple straciła nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze go zobaczy. Kiedy dorosła, poruszyła niebo i ziemię, by go odnaleźć, lecz jej starania nie przyniosły żadnych rezultatów. Kilka lat temu odkryła, że właśnie w samolotach nawiązuje najbliższy kontakt z duchem swojego ojca. Lecąc sześć tysięcy metrów ponad ziemią, wyglądała przez okienko i widziała twarz, którą знаła jedynie z fotografii, stojącej na nocnym stoliku przy łóżku.

- Opowiedziałam ci już, babciu, wszystko, co się u mnie zdarzyło - zakończyła Temple. - A co słyszeć w Summersville?

- Jak zwykle nic nowego - zachichotała Eleanor. - Tutaj czas stanął w miejscu.

W niewielkim miasteczku położonym w odległości około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na północ od Dallas niezwykle rzadko działo się coś godnego uwagi. Zdaniem Temple miało to nawet swój urok.

- Kiedy mnie odwiedzisz? - spytała babcia.

- Mam nadzieję, że już niedługo. Pod koniec miesiąca będę miała kilka dni wolnych. Nie mogę się doczekać, kiedy powiem Craigowi o mojej decyzji.

- Chodzi o syna Helen i Franka Stevensów? - upewniła się Eleanor.

- Tak.

- Jaki on jest?

- Niezły.

„Niezły" to za mało powiedziane. Craig był fantastyczny! Temple uważała go za swojego najlepszego przyjaciela. Wiedziała, że babcia nie pojęłaby szczególnej istoty ich związku i doszukiwałaby się w nim jakichś romantycznych akcentów, których przecież wcale nie było. Chociaż... Prawdę mówiąc, Temple sama nie do końca umiała określić niezwykle układ, łączący ją z Craigiem. Znali się niemal od urodzenia. Dorastali w tym samym małym miasteczku, razem chodzili do liceum. Kiedy Craig poszedł do wojska, a potem do szkoły lotniczej, zaś Temple kończyła naukę w college'u, ich drogi na krótko się rozeszły.

Pięć lat temu Temple zaczęła pracować dla linii Sparrow, których główny ośrodek mieścił się w Dallas, i wtedy znowu zetknęła się z Craigiem. Był teraz starszy, bardziej doświadczony, ale nie ulegało wątpliwości, że to ten sam brat-łata, którego niegdyś znała. Pracował dla Sparrow jako pilot. Wybrał rejsy wahadłowe, ponieważ lubił familiarną atmosferę, jaka panowała w małych samolotach, poza tym nie chciał długo przebywać z dala od domu. Temple była zdziwiona, że jej przyjaciel nadal jest kawalerem. Był przecież najprzystojniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała. Inni mężczyźni wyglądali przy nim jak pokraki. Kiedy mu niechcący o tym powiedziała, wybuchnął głośnym śmiechem i zapewnił ją, że kobiety wcale nie ustawiają się w kolejce pod jego drzwiami.

Nie bardzo mogła w to uwierzyć.

Między nimi nic się nie zmieniło: nadal byli przyjaciółmi i po-wiernikami. Kiedy jedno z nich lizało rany po zakończeniu nieudanego związku, drugie wiernie towarzyszyło mu w niedoli.

Craig czule opiekował się Temple po tym, jak odkryła, że facet, którego uważała za mężczyznę swojego życia, jest po prostu nędznym

szczurem. Całymi dniami wypłakiwała żale na szerokiej piersi przyjaciela, a on cierpliwie osuszał jej łzy, otulał ciepłym kocem, rozczesywał włosy i karmił rosołem.

Potem przyszła pora na rewanż. Temple została siostrą miłosierdzia po nieudanym związku Craiga z jej przyjaciółką, Nancy. Wszyscy myśleli, że lada moment zabrzmiały weselne dzwony, ale tymczasem coś się popsło i para się rozstała.

Craig nie powiedział Temple, co się stało. Nancy wykrztusiła jedynie, że ma złamane serce i nadzieję na wskrzeszenie romansu.

W tym trudnym okresie Temple hołubiła Craiga najlepiej, jak umiała. Piekla mu jego ulubione ciasteczka, godzinami oglądała wraz z nim głupawe komedie, przekonana, że tylko dla tego mężczyzny zdolna jest do podobnych poświęceń.

Craig i Nancy nie zeszli się ponownie, ale ponieważ przyjaciółki utrzymywały ze sobą kontakt, Temple wiedziała, że w sercu Nancy uczucie tli się nadal.

Dlaczego jednak ona nigdy nie zapalała do Craiga romantycznym uczuciem? Przecież niczego mu nie brakowało. Był najlepszym pilotem w całym zespole i niezwykle przystojnym mężczyzną. Nieustannie rejestrowała zachwycone spojrzenia, jakimi obrzucały go inne kobiety, kiedy przechodził przez halę dworca lotniczego.

Craig stanowił bardzo ważny element w jej życiu. W każdej sytuacji mogła liczyć na jego pomoc, czy chodziło o wypełnienie formularza podatkowego, zbilansowanie książeczki czekowej, czy też otwarcie ramion, w których mogłaby się wypłakać. Byli naprawdę doskonałymi, oddanymi przyjaciółmi. Niewielu ludziom dane jest takie szczęście.

- Czy tworzycie parę? - dociekała Eleanor.

- Skądże znowu - obruszyła się Temple. - Po prostu się przyjaźnimy.
Za chwilę się zaczniesz, pomyślała.

- A w ogóle z kimś się spotykasz? - nie dawała spokoju babcia.

- Czasem, z tym i owym.

Naprawdę chciała znaleźć właściwego partnera. Musiał być gdzieś w pobliżu, tylko jakoś nie mogła na niego trafić. Ciągłe spotykała jakichś nieudaczników, z którymi nie warto spędzić nawet wieczoru, nie mówiąc już o całym życiu.

- Poznałaś chociaż kogoś interesującego?

- Niestety, przyciągam największych nudziarzy pod słońcem. Temple powiedziała prawdę. Przeróżni palanci lgnęli do niej jak muchy do miodu, jakby była idealnym obiektem do dręczenia.

- Chciałabym, Tootie, żebyś w końcu założyła rodzinę - westchnęła Eleanor.

- Wiem, babciu.

Temple zdawała sobie sprawę, że staruszka pragnie doczekać prawnuków. Należało jej się to. Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że za chwilę powinien się zjawić facet, z którym umówiła się dziś na randkę.

- Obciąłam włosy - rzuciła jeszcze od niechcienia do słuchawki.

- Na Boga, Temple, coś ty narobiła! Tak cudownie wyglądałaś w tych kasztanowych lokach.

- Coraz trudniej było pielęgnować takie długie włosy - wyjaśniła. - Godzinami musiałam je suszyć.

- Rozumiem, ale były takie piękne... - jęknęła Eleanor. - Od dzieciństwa ich nie skracałaś. Rodzona babka cię nie pozna!

- Nie jest tak źle. Kazałam je podciąć i trochę ścieniować, żeby uzyskać nowoczesną linię. Wyglądam teraz jak kobieta wyrafinowana.

- Mam nadzieję, że za bardzo się nie postarzyłaś - gderła babcia.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

- Babciu, muszę kończyć. Zaraz mam spotkanie.

- Randkę? - zainteresowała się Eleanor.

- Tak, randkę.

Postanowiła się ustabilizować i oto zrobiła pierwszy krok: w piątkowe popołudnie umówiła się z facetem. Nie chciała jednak zawczasu łudzić babci zbytnią nadzieją.

- Jak on się nazywa?

- Darrell Jakiśtam.

- Pochodzi przynajmniej z dobrej rodziny?

- Zapytam go o to, babciu. Zadzwonię do ciebie w niedzielę.

Temple odłożyła słuchawkę i podeszła do lustra, by skontrolować swój wygląd. Jęknęła, przeczesując dłonią włosy. Dlaczego je podcięła? Wyglądała teraz jak oskubana gęś. Co sobie pomyśli ten Darrell... o rany, jak on ma na nazwisko? Zupełnie nie mogła sobie przypomnieć. W końcu widzieli się tylko przez chwilę tydzień temu na prywatce. No dobrze, to po co w ogóle się z nim umawiała? Ogarnęło ją złe przecucie.

Jeszcze raz zerknęła w lustro. Kolor szminki, który wybrała, sprawił, że wyglądała, jakby nie spała z tydzień i w dodatku cierpiała na zaburzenia wątroby. Rozległ się jednak kolejny dzwonek, było więc za późno, by zmieniać makijaż.

Obróciła się przed lustrem i krytycznym okiem obrzuciła swój przydzwiek. Zdecydowanie ją pogrubiał. Może jednak wystarczy czasu, by się przebrać.

Kręcąc się nerwowo przed lustrem, gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, jakie nazwisko nosi mężczyzna, z którym miała się za

chwilę spotkać. W głowie czuła kompletną pustkę. Pracuje chyba dla jakiejś firmy prawniczej... Nie, budowlanej.

Przymierzyła kolejny strój i machnęła ręką. Do diabła z elegancją! Włożyła jednak luźny kostiumik. Musi się ubrać wygodnie i przewiewnie.

Też miał pomysł ten Darrell! W sierpniu zapraszać kobietę do zoo!

Oczyrna duszy ujrzała przytulne, klimatyzowane wnętrza ulubionej restauracji jej i Craiga... Mogłaby spędzić uroczne popołudnie w „Ptasim Gniazdku”, gdzie podają przepyszne żeberka...

Nauczona doświadczeniem, wsunęła do torebki fiolkę z aspiryną, po raz ostatni rzuciła okiem do lustra i kiedy dzwonek rozległ się po raz trzeci, była gotowa wyjść naprzeciw swemu przeznaczeniu.

Powodzenia, szepnęła sama do siebie. Przeczowała, że będzie jej potrzebne.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Czy macie jakieś plany na weekend? - spytał Craig.

- Będziemy sadzić krzewy - odparł Jim.

Jim Scott, pieszczotliwie zwany Scottym, wpadł do Craiga, by oddać mu kasetę z filmem. Czekając, aż przyjaciel skończy się ubierać, włączył telewizor i machinalnie zmieniał kanały.

Jim i Craig od lat latali w jednej załodze; Craig jako kapitan, Jim jako drugi pilot. W tym czasie więzy ich przyjaźni bardzo się zacieśniły. Jim, szczęśliwy małżonek swojej Stephanie, uważał, że każdy powinien

zaznać rozkoszy stanu małżeńskiego i nieustannie dręczył tym pomysłem kolegów kawalerów, a już zwłaszcza upodobał sobie Craiga Stevensa.

- Z kim umówiłeś się na wieczór? - zagadnął Jim.

- Z Niną Jennings.

- Niezła. - Uwagę Scotty'ego na chwilę przyciągnął program, nadawany na jednym z kanałów. - Idziecie na kolację?

Craig, zaciskając zęby, po raz kolejny próbował zawiązać węzeł krawata.

- Zgadza się.

- Jakoś nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie.

- Szczerze mówiąc żałuję, że w ogóle się z kimś umówiłem.

- Zaczynasz się powtarzać. Zobacz, jak ty wyglądasz. Craig zerknął w lustro i otaksował swoją sylwetkę.

- Co ci się nie podoba?

- Ubrałeś się jak na egzekucję, a nie na randkę.

- Rzeczywiście czuję się jak skazaniec.

Trzydziestodwuletni kawaler, Craig Stevens, któremu brak żony zupełnie nie doskwierał, wolałby zostać wieczorem w domu i przy kieliszku dobrego wina słuchać muzyki poważnej.

Żonaci przyjaciele Craiga za nic nie chcieli uwierzyć, że wolny stan bardzo mu odpowiada, i przy każdej okazji zasypywali go matrymonialnymi propozycjami. Z jakichś bliżej nie wyjaśnionych powodów ulegał ich sugestiom i umawiał się z kolejnymi kobietami, które mu podsuwali. Nie był wrogiem małżeństwa, tylko uważał, że nie należy się spieszyć. Wolał uniknąć przykrych niespodzianek.

Z Niną, programistką komputerową linii lotniczych, widział się dotąd tylko raz, i to krótko. Zanim się zorientował, ich wspólny przyjaciel

namówił go, by zaprosił ją na randkę, no i stało się. Szykował się teraz na spotkanie, na które nie miał najmniejszej ochoty.

- Czy kiedykolwiek myślałeś poważnie o jakiejś kobiecie? - spytał Scotty.

- Raz.

- No i co?

- Skończyło się.

Łagodnie określenie, pomyślał Craig. To tak, jakby nazwać huragan letnim wietrzykiem.

- Kim była twoja niedoszła wybranka?

- Stewardesą. Poznałem ją, kiedy zacząłem pracować dla Sparrow. Niebieskooka blondynka, zawsze uśmiechnięta. Mieliśmy ze sobą wiele wspólnego i zaczynałem już myśleć, że oto spotkałem kobietę swojego życia.

- I?

- Pomyłka. Pewnego razu obudziłem się i zrozumiałem, że nie chcę do końca dni swoich siedzieć naprzeciw niej przy stole każdego ranka. Wstałem więc z łóżka, zadzwoniłem do niej i zaprosiłem ją na śniadanie. - Craig uśmiechnął się ponuro na samo wspomnienie. - Była wtedy piąta rano.

- Bardzo się wściekła, kiedy z nią zerwałeś?

- Jak stado słońi.

- Biedaku.

- Dwa dni później po naszym rozstaniu zaproponowała, że przygotuje pożegnalną kolację. Był to pretekst, żebym wpuścił ją do swojego mieszkania. Kiedy wróciłem do domu, zastałem wszystkie meble popsikane jakimś śmierdzącym sprayem. Uznała to za odpowiedni symbol.

Scotty tylko westchnął.

- W następnym tygodniu włamała się do mojego forda i rozgniotła banany na desce rozdzielczej. Było upalne lato, temperatura wewnątrz samochodu dochodziła do pięćdziesięciu stopni. Nie pomogło wietrzenie i rozwieszanie choinek zapachowych. Ostatecznie musiałem sprzedać wóz.

- Na tym się skończyło?

- Niestety, nie. W końcu się przeprowadziłem i zastrzegłem numer telefonu. Jednakże po pięciu latach odszukała mnie i zadzwoniła, by mi przypomnieć, jakim okazałem się draniem. Na szczęście potem dała mi spokój. Nie wiem, co się z nią dzieje, i mam nadzieję, że nigdy się nie dowiem.

- Jedna wpadka nie powinna zniechęcać cię do reszty kobiet. Craig zapiął marynarkę i uśmiechnął się nieznacznie.

- Jasne, że nie. Wolałbym jednak uniknąć podobnych sytuacji. Dlaczego jego przyjaciele są tacy natrętni i za wszelką cenę próbują go wyswatać? Życie, jakie prowadził, bardzo mu odpowiadało. Lubił swoje spokojne rozrywki: wędkowanie, pieszą turystykę, wyprawy do czytelnicy. Przecież kiedyś się ożeni. W bliżej nie określonej przyszłości. Teraz chciał mieć święty spokój.

- Myślałeś kiedykolwiek o Temple Burney? - drażył temat Scotty.

- W jakim sensie?

Craig wygładził krawat. Ciągle myślał o Temple.

Była wspaniałą dziewczyną z niezwykłym poczuciem humoru, świetną stewardesą i miała parę najzgrabniejszych nóg, jakie kiedykolwiek widział. Niestety, traktowała go wyłącznie jak kumpla. Czasami miał ochotę to zmienić, ale bał się zepsuć doskonałe stosunki, jakie ich łączyły. Sądził, że nigdy nie przekona Temple, iż mogliby stanowić udaną parę.

- No, żeby się z nią umówić.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi. - Craig wsunął do kieszeni klucze i portfel.

- Bylibyście znakomitą parą.

- Temple nie umawia się na randki z lotnikami.

- Dlaczego? Skrzywdził ją kiedyś który?

- Nie o to chodzi. Postanowiła nie łączyć pracy zawodowej z życiem prywatnym. Ma na tym punkcie absolutnego fioła. Jej ojciec był pilotem i zestrzelono go w Wietnamie. Do dziś widnieje na liście zaginionych. Matka Temple aż do śmierci nie pogodziła się z tym faktem. Zgorzkniała, odsunęła się od świata. Zrażona dziewczyna unika lotników jak ognia.

- Niedobrze.

- Nie umawia się z lotnikami na randki, co nie znaczy, że ich ignoruje, wprost przeciwnie. Na mnie uwzięła się szczególnie. Stale ze mną rywalizuje.

- Masz na myśli te poranne wyścigi o miejsce na parkingu? - Scotty wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jest w tym dobra. - Craig także się uśmiechnął. - Jak nikt inny potrafi cię wykolegować.

Oczyścił marynarkę i był gotów do wyjścia

- Mógłbyś do nas wpaść jutro wieczorem. Steph bardzo by się ucieszyła. Poproszę, żeby zrobiła twoje ulubione zrazy - kusił Scotty.

Craig przez moment wyobraził sobie ładnie nakryty stół i kochającą kobietę, która czeka na niego wieczorem ze smaczną kolacją, dzieli z nim łóżko nocą...

- A nie będziesz mnie przypadkiem namawiał na kolejną randkę? - upewnił się, zamykając frontowe drzwi.

- No wiesz! - obruszył się Scotty. - Jakżebym mógł tak dręczyć przyjaciela? Czekam na ciebie jutro.

W tym samym czasie, w innej części miasta, Temple podeszła w końcu do drzwi, by powitać mężczyznę, z którym umówiła się na spotkanie. Przybrała najbardziej przyjazny wyraz twarzy, na jaki mogła się zdobyć.

- To ty, Darrell? - spytała półgłosem.

Omiotła spojrzeniem sylwetkę stojącego w progu drağala. O rany, co za eksponat, pomyślała. Naprawdę się z nim umówiłam? Przecież wypiła wtedy na prywatce tylko jednego drinka i wcale nie była wstawiona.

- Właśnie ja!!! - Temple aż cofnęła się o krok, odrzucona siłą głosu swojego partnera na dzisiejsze popołudnie.

Ubrany w szorty w szkocką kratę, jaskraworóżową koszulkę polo i białe skórzane półbuty drağal uśmiechał się do niej szeroko. Na głowie miał kapelusz panama, owiązany chustką w hawajskie wzory, z przymocowanym do róna ananasem z plastyku.

- Witaj, Temple!!!

Natychmiast zapragnęła skryć się w mysiej norze, byle nie musiała słuchać tego przerażającego ryku. Cofnęła się jeszcze o krok i powiedziała słabym głosem:

- Bardzo mi miło. Wejdiesz na chwilę?

- Dzięki, ale zostawiłem auto na chodzie!!! Gotowa?! Temple sięgnęła po torebkę.

Pomyślała z troską, że Darrell być może ma kłopoty ze słuchem. Zerknęła ukradkiem na jego uszy w poszukiwaniu cieniutkich przewodów od słuchawek, ale niczego takiego nie zauważyła.

- Chyba lubisz delfiny?! - huknął Darrell.

- Uwielbiam - wymamrotała Temple.

- Zapowiada się miły dzień! - wrzasnął, prowadząc Temple do swego samochodu. - Bałem się, że może padać!!!

Roberta King, podlewająca kwiatki w ogródku, upuściła z wrażenia konewkę i zaniepokojona rozejrzała się dokoła.

W czasie jazdy Temple próbowała słuchać, co mówi jej partner, ale co i rusz krzywiła się z bólu. Kiedy tylko Darrell otwierał usta, z jego gardła wydobywały się coraz głośniejsze dźwięki.

- Nie jesteś zbyt rozmowna! To dobrze, lubię ciche kobiety!!!

Dojechali właśnie do zoo. Wejście do ogrodu zdobiły dwa ogromne zielone kamienne delfiny. Darrell to po prostu wielka, ożywiona tuba, pomyślała w tym momencie Temple. Niestety, była dziś skazana na towarzystwo tejże tuby.

W ogrodzie zoologicznym kłębił się gęsty tłum zwiedzających. Temple i Darrell, rozpychając się łokciami, przeciskali się w stronę delfinarium.

- Chcesz się czegoś napić?! Strasznie gorąco!

Tylko gorąco? Zdaniem Temple w piekle musiało być chłodniej niż na rozgrzanych asfaltowych alejkach ogrodu.

- Z przyjemnością. Najchętniej coli.

- Zaraz ci przyniosę!

Darrell poszedł do budki i wrócił po kilku minutach z napojami i przekąskami. Znowu torowali sobie łokciami drogę ku otwartemu stadionowi, gdzie mieścił się basen z delfinami. Temple z trudem utrzymywała równowagę, ściskając w jednym ręku olbrzymią butelkę z colą, a w drugiej torebkę z prażoną kukurydzą, które wręczył jej Darrell.

Jęknęła z bólu, kiedy jakiś osobnik nadepnął jej mocno na stopę.

Pomyślała, że do końca życia zostanie już kaleką.

- Boli cię?! - wrzasnął Darrell.

Kilka głów obróciło się w ich stronę. Każdy chciał się upewnić, czy przypadkiem nie do niego skierowane są te słowa.

- Och, nie, wszystko w porządku.

Musiała teraz stapać na palcach, gdyż obcas jednego z jej butów zwisał smętnie, oderwany od podeszwy. Dotarli już w pobliże delfinarium i napierająca gawieź wepchnęła ich przez bramę do środka.

Temple spojrzała tęsknym wzrokiem w stronę wyższych rzędów ławek, które znajdowały się pod dachem, chroniącym przed palącymi promieniami słońca. Darrell szybko jednak rozwiął jej nadzieje.

- Lubię siedzieć blisko basenu! Chyba ci to nie przeszkadza?!!

Ruszył prosto ku pierwszemu z rzędów, dając znak Temple, by szła za nim.

Kiedy się zatrzymali, Darrell gwałtownym ruchem rozłożył specjalne krzeselko, które przyniósł ze sobą, przymocował je do metalowej ławki i rozsiadł się wygodnie. Temple odstawiła na bok butlę, odłożyła torebkę z kukurydzą, sięgnęła po papierową chusteczkę, wytarła mokrą, pozbawioną oparcia, gorącą jak diabli ławeczkę, po czym spoczęła na niej z westchnieniem. Pomyślała, że na prywatce Darrell nie był taki irytujący. Żując kukurydzę, przysłuchiwała się młodej, opalonej dziewczynie w skąpych szortach, która właśnie zapowiadała pokaz.

- Witajcie, jestem Julia! - Uśmiechnęła się szeroko. Słowom dziewczyny towarzyszyła burza oklasków. Może nie będzie tak źle, uznała Temple.

Julia oznajmiła widzom, że za chwilę będą świadkami fantastycznego przedstawienia w wykonaniu pary delfinów o imionach Rocco i Tuffy. Publiczność zaczęła wiwatować na zapas.

Dwa ogromne ssaki powoli krążyły wokół basenu. Promienie słoneczne odbijały się od wody i Temple miała wrażenie, że tłuką ją po głowie setki gorących kijów. Pożałowała, że nie wzięła kapelusza. Metalowe ławeczki parzyły coraz mocniej. Okrągła misa stadionu przypominała teraz rozgrzaną patelnię.

- Wspaniale, prawda?! - zagrział Darrell, przysuwając się bliżej do Temple.

Boże, czyżby naprawdę sądziła wcześniej, że coś takiego może ją bawić?

- Na koniec rewelacja! - krzyczała Julia z entuzjazmem. - Rocco wyskoczy cztery metry w górę i wykona potrójne salto, zanim ponownie zanurzy się w wodzie!

Prezenterka stanowczo była zbyt dziarska. Podobne typy działały Temple na nerwy.

Radość publiki zbliżała się do apogeum. Głośnym oklaskom towarzyszyły przeraźliwe gwizdy i tupanie.

Dwa delfiny ruszyły ostro ku krawędzi basenu, wystawiły z wody otwarte pyski i zręcznie pochłoneły rzucone im przez Julię ryby. Potem, skrzecząc głośno, niezdarnie ukłoniły się publiczności, co zostało nagrodzone kolejną porcją braw.

Temple pociągnęła łyk coli. Zaraz dostanę udaru, pomyślała. Mam nadzieję, babciu, że docenisz moje starania.

Delfiny ponownie zanurzyły się w wodzie i zaczęły pływać z coraz większą szybkością. Rocco w mig wykonał siedemdziesiąt okrążeń basenu.

Mimowolnie zafascynowana zręcznością zwierząt, Temple, nie przestając żuć kukurydzy, aż zsunęła się na brzeg ławki i pochyliła do przodu, by lepiej widzieć całe przedstawienie.

Nagle Rocco wystrzelił w górę, zrobił w powietrzu ostry łuk, po czym wykonał trzy koziołki i zanurzył się w wodzie.

Kiedy czterysta kilo mięsa wylądowało w basenie, Temple usłyszała przeraźliwy plusk i niemal w tym samym momencie poczuła, że wali się na nią co najmniej pięciometrowa ściana wody.

Uderzenie fali przewróciło ją na plecy, wytrącając z rąk colę i torebkę z kukurydzą, której ziarna zaczęły fruwać dookoła. Otumaniona leżała w śmierdzącej rybami brei, nie widzącym wzrokiem wpatrując się w niebo, podczas gdy publiczność gromkimi brawami nagradzała popis delfina

- Fantastyczne!!! - wrzeszczał Darrell. Zupełnie nie obchodził go fakt, że nie pozostało na nim choćby suchej nitki, podobnie jak na reszcie widzów z pierwszych rzędów.

Temple zorientowała się nagle, że leży z nogami ku górze i prezentuje oczom Darrella oraz setkom innych gapiów swoje koronkowe majteczki. Drżąc z upokorzenia, zdołała jakoś podnieść się i usiąść. Rozmazany tusz spływał jej po policzkach, przyklejone do czaszki włosy smętnie zwijały się wokół twarzy.

- Podać ci rękę?! - Darrell zorientował się, że jego towarzyszka siedzi na ziemi. Zanim zdołała go powstrzymać, gwałtownie szarpnął ją do góry.

Temple stanęła na równe nogi i jak oszalała próbowała wypluć rozmoczoną kukurydzę, żeby przypadkiem nie połknąć brudnych ziaren. Przenikliwy odór śmierdzącej rybami bluzki przyprawiał ją o mdłości.

Darrell nieuważnie klepał ją po plecach, skupiony na obserwowaniu dalszych wyczynów zwierząt. Inni widzowie wybrali lepsze przedstawienie, które za darmo dostarczyli im Temple i Darrell. Dziewczyna myślała, że spali się ze wstydu.

Kiedy pokaz delfinów dobiegł końca, Darrell zaproponował, aby poszli teraz obejrzeć wieloryba-zabójcę.

Późnym popołudniem Temple ledwo dowlokła się po schodkach do frontowych drzwi swego domu. Odwróciła się i z niewypowiedzianą ulgą pomachała Darrellowi na pożegnanie.

W salonie ledwo żywa padła na kanapę. Ubranie kleiło jej się do ciała, z włosami przez tydzień nie dojdzie do ładu, nos i ramiona miała spalone od słońca, pięty poobcierane, a podeszwy stóp paliły ją tak, jakby stapała nimi po rozżarzonych węglach.

Prawo Murphy'ego sprawdziło się w jej przypadku w ponad stu procentach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ho Larson, prowadząca w Fort Worth punkt wynajmu samochodów, rozsiadła się wygodnie na miejscu pasażera i z lubością zapaliła papierosa, rozkoszując się dwudziestominutową jazdą na lotnisko.

- Wyrzuciłaś go przez okno z pierwszego piętra? - nie mogła uwierzyć Temple. - Cud, że biedak się nie zabił. - Edgar Winters co prawda dobrze się trzymał, ale miał już osiemdziesiąt trzy lata.

- Ucierpiała jedynie duma starego rozpustnika. - Flo po raz kolejny zaciągnęła się papierosem, po czym ugryzła kawałek lukrowanego pączka. Żywotna starsza pani zupełnie nie dbała o linię i nie przejmowała się zgubnymi skutkami palenia tytoniu. Temple popatrzyła na nią ze zgrozą.

- Dlaczego tak postąpiłaś, Flo?

- Już ci mówiłam. Nakryłam go w łóżku z Ruthie Fredericks.

- I tak po prostu chwyciłaś go i wyrzuciłaś przez okno?

- Uznałam, że skoro stary przyk udaje koguta, to pewnie umie i fruwać - zachichotała siedemdziesięcioletnia Flo.

Temple uśmiechnęła się i jechała dalej. Jak na poranną godzinę, w pobliżu lotniska panował niewielki ruch. Skręciła z autostrady i ruszyła w stronę parkingu dla pracowników portu, przez cały czas zerkając w tylne lusterko.

Flo skończyła jeść pączka i palić papierosa. Niedopałek wyrzuciła za okno, a okruchy po ciastku wsypała do kieszeni płaszcza. Sprawdziła w lusterku, czy jakieś resztki nie utkwili jej w zębach, po czym zanurzyła dłoń w torebce w poszukiwaniu szminki.

- O której masz lot? - spytała.

- O siódmej - odparła Temple.

- Dziękuję za podwiezienie. Chyba się złamię i kupię nowy akumulator. Mój pinto już po raz drugi w tym tygodniu nie chciał zapalić.

Temple przez cały czas z nateżeniem obserwowała we wstecznym lusterku, co się dzieje z tyłu i tylko jednym uchem słuchała paplaniny Ho.

- Z kim dzisiaj lecisz?

- Ze Stevenssem i Scottem.

Temple spojrzała tym razem w boczne lusterko. Biały lincoln Craiga w każdej chwili mógł się pojawić przy zjeździe z autostrady. Z jakichś nie wyjaśnionych przyczyn perspektywa lotu cieszyła ją zawsze o wiele bardziej wtedy, kiedy wiedziała, że odbędą go wspólnie.

- Ty i Craig zachowujecie się jak para dzieciaków - oświadczyła w pewnej chwili Flo. - Bez przerwy sobie dokuczacie. Codziennie urządzać te wyścigi na parkingu? Dziwne, że nigdy się nie zeszliście - ciągnęła. - Craig jest przystojny i ma fart. Ty również. Czego więcej trzeba?

- Ja i Craig? Dobry dowcip! - roześmiała się Temple.

Piloci nie wchodzili w rachubę. W ogóle nie brała ich pod uwagę w swoich planach; żadnego, nawet Craiga, mimo że ostatnio wydawał jej się jeszcze wspanialszy niż przedtem.

- Poza tym był zaręczony z moją najlepszą przyjaciółką - poinformowała starszą panią. - Zerwali ze sobą, a Nancy została ze złamanym sercem. Do dziś beznadziejnie kocha się w Craigu. Nie mogłabym zrobić jej świństwa.

- Powinnaś trochę pomyśleć o sobie.

- Nie leży to w moim charakterze.

- No cóż...

Flo zaczęła malować wargi, kiedy Temple zauważyła lincolna Craiga. Wcisnęła gaz do dechy. Pikap wyrwał do przodu, Flo gwałtownie uderzyła potylicą o zagłówek, przeciągając przy tym szminką przez policzek, na którym został ślad w kolorze zachodu słońca nad Marokiem. Temple uśmiechnęła się złowieszczo, widząc, jak samochód Craiga nagle przyspieszył. Flo ledwo zdołała się wyprostować i kurczowo przytrzymać uchwytu u drzwi, kiedy oba pojazdy zaczęły wyścig. Craig próbował zdystansować Temple na zakręcie, ale bez powodzenia.

Temple zahamowała gwałtownie dokładnie pośrodku linii rozdzielającej dwa stanowiska. Opłaciły się tygodnie treningu.

Craigowi poszło o wiele gorzej. Kilkakrotnie manewrował swoim dużym samochodem, nim udało mu się w końcu wcisnąć w wąski przesmyk, który zostawiła mu Temple. Zdołał co prawda otworzyć drzwi, ale nieźle się musiał nabiedzić, żeby wysiąść.

- Ahoj, kapitanie Stevens. Piękny dziś mamy poranek, nieprawdaż?!

- zawołała radośnie.

Craig mamrocząc coś pod nosem, sięgnął po marynarkę i torbę lotniczą, po czym zatrzasnął drzwi. Obejrzał rozgrzane opony i z niesmakiem potrząsnął głową.

- Rozrabiara - rzucił przez zęby.

- Nieudacznik - odcięła się Temple.

Flo, nawykła do ich przekomarzań, ruszyła w stronę terminalu, ścierając z policzka jaskrawy malunek.

Craig z politowaniem popatrzył na poobijanego pikapa Temple.

- Kupisz sobie w końcu jakiś przyzwoity samochód?

- Kiedy mój staruszek pójdzie do raju - wycedziła Temple, uśmiechając się czule do półciężarówki. - Wyglądasz jak zbity pies - zwróciła się do Craiga. - Ciężkie czasy?

- Tragiczne. A co u ciebie?

- Lepiej nie pytaj.

- Jak ci poszło z tym... Darrellem?

- Iskra bez ognia. Opowiedz raczej, jak tobie minął weekend.

- Niedzielny wieczór: niewypał. Scott znowu mnie zrobił. Wpadłem do nich na kolację i natknąłem się na jakąś jego kuzynkę.

- A sobotnia randka?

- Na prośbę Niny poszliśmy do kina.

- Dobrze się bawiłeś?

- Wyśmienicie! Nina cierpi na katar sienny. Co chwila głośno wydmuchiwała nos. Wszyscy w promieniu kilku rzędów mieli dosyć.

Temple śmiała się głośno, kiedy ramię w ramię wkraczali do hali odpraw wahadłowych lotów. Tego ranka kłębił się tam spory tłumek podróżnych. Stanowiska linii Sparrow utrzymane były w jasnoniebieskiej tonacji, z tyłu na każdej ścianie boksu widniał duży wróbel - logo przewoźnika.

Pozdrowili Ginny, która przecierała bufetową ladę, i Craig poszedł na odprawę, a Temple ucięła sobie z Ginny krótką pogawędkę przy kawie. Koleżanka wróciła właśnie z tygodniowego urlopu, miały więc o czym plotkować.

- Jak było w piątek? - spytała Ginny. To przecież u niej na prywatce Temple poznała Darrella.

- Ginny, czy ten facet cierpi na zaburzenia słuchu?

- Chodzi ci o to, że głośno mówi?

- Właśnie.

- Nie sądzę... Wszyscy w jego rodzinie mają donośne głosy. Temple z westchnieniem sięgnęła po cukier.

- Przyszło mi do głowy, że zamiast szukać idealnego mężczyzny, powinnam kupić sobie kota.

- Świetny pomysł - zgodziła się Ginny. - Polecam persy. Są niezależne. Wystarczy nakarmić je raz dziennie i zmieniać piasek w kuwecie. Pięknie mruczą, liżą swoją panią po rękę. Jeśli je porządnie szczotkujesz, gubią mało sierści. Nie chrapią, nie zdzierają obcasów. Kiedy masz dosyć widoku kota, zamykasz go w pralni.

Głos Darrella byłoby słychać nawet z pralni. Co tam pralnia! Nawet spod ziemi.

Temple obejrzała w lusterku zaczerwieniony od słońca nos. Pomyślała, że nie zdąży już nic z nim zrobić, i wpatrzyła się w tłum spieszących się pasażerów.

Pary wymieniały uściski i pocałunki, uśmiechając się do siebie przez łyży. Przez chwilę Temple poczuła ukłucie zazdrości, którą natychmiast odepchnęła jak najdalej.

- Jak ty to robisz, Gin? Już od dwóch lat chodzisz z Mikiem, prawda?

Temple nie przypominała sobie, żeby jakiś mężczyzna interesował ją dłużej niż dwa dni. Ostatnio ledwo wytrzymała cztery godziny.

- Zamierzacie się pobrać?

- Sama nie wiem. - Ginny wzruszyła ramionami, rozlewając keczup do plastikowych buteleczek. - Parę spraw musimy jeszcze dogadać. Mike nie przepada za dziećmi, a ja chciałabym mieć całą gromadkę.

- Zmieni zdanie.

- Specjalnie na to nie liczę. Na urodziny podarował mi poradnik „Jak skutecznie zapobiegać ciąży”.

Temple uśmiechnęła się, rzuciła okiem na zegarek, wypila ostatni łyk kawy i zsunęła się z wysokiego stołka.

- Robi się późno, muszę lecieć. Do zobaczenia.

- Pa, pa! - zawołała Ginny. - Niedługo twoje urodziny. Mam się rozglądać za kotem?

- Zastanowię się. - Temple ruszyła do wyjścia. Pomysł coraz bardziej jej się podobał.

Kiedy weszła do niewielkiej kabiny, Scotty zajmował już miejsce w fotelu drugiego pilota. W rękę trzymał notatnik i zerkając do niego, przeprowadzał przedstartową kontrolę urządzeń i przyrządów pokładowych.

- Kawy, panowie? - spytała Temple.

- Jasne. Ratujesz mi życie - westchnął Scotty.

Tego ranka lot miał się odbyć na pokładzie saaba z trzyosobową załogą: kapitanem, drugim pilotem i stewardesą. Samolot należał do najnowszej generacji statków powietrznych, skonstruowanych specjalnie z myślą o lotach na krótkich dystansach. W kabinie pasażerskiej znajdowały się dwa rzędy foteli; w jednym były pojedyncze miejsca, w drugim podwójne. Kabina pilotów wyposażona była w prawdziwe cudeńka techniki. Saab 340 był jednym z ulubionych samolotów Temple.

Craig przecisnął się obok niej i zajął miejsce przy sterze. Ten nieoczekiwany kontakt fizyczny sprawił, że Temple oblała fala gorąca. Zdziwiona poczuła, że płoną jej policzki, i popatrzyła na przyjaciela, jakby szukając w jego oczach wyjaśnienia tego, co przed chwilą zaszło.

- Coś się stało? - spytał Craig, biorąc od niej filiżankę z kawą.

- N-nie, wszystko w porządku.

Co się dzieje? pomyślała. Od kiedy to dostaję dreszczy w obecności Craiga Stevensa? Już wiem, to jego zapach tak na mnie podziałał. Po prostu uwielbiam old spice'a.

- Jeszcze raz buźka za kawę - powiedział z wdzięcznością Scotty. - Rano nie miałem czasu wypić nawet łyka. Steph przez całą noc była na nogach z powodu dziecka.

- Mam nadzieję, że nie zachorowało? - Temple stała oparta o framugę drzwi kabiny, powoli odzyskując utraconą chwilę wcześniej równowagę.

- Nie, tylko ząbkuje. Człowiek szybko zapomina, jak to wtedy jest. Pete i Cari mają już po pięć i sześć lat. Kiedyś i do nich musieliśmy wstawać w nocy, by masować im bolące dźiąsła.

Craig włożył przeciwsłoneczne okulary. Temple z upodobaniem obserwowała włosy wijące się na jego karku, szerokie ramiona opięte mundurem pilota i...

Co ty wyprawiasz, Burney? ofuknęła nagle samą siebie. Craig jest twoim najlepszym przyjacielem, a ty gapisz się na niego jak na potencjalnego kochanka! Chociaż...

Otrząsnęła się z niebezpiecznych fantazji i skupiła na tym, co mówił do niej Scotty.

- Oboje powinniście sobie znaleźć kogoś do pary i nareszcie się ustatkować. - Drugi pilot oddał koleżance pustą filiżankę i ciągnął swoje dobre rady. - Dość włóczenia się z byle kim, samotnych powrotów, pospiesznych śniadań.

- Mówisz jak moja babcia - westchnęła Temple.

- Lubię szybkie śniadania - mruknął Craig, patrząc w swój notatnik.

- Jedenaście lat temu poprosiłem Steph o rękę i jakimś cudem zgodziła się wyjść za mnie. Teraz w każdy piątek wynajmujemy niańkę, żeby urwać się z domu i zjeść razem kolację na mieście. Potem wracamy i idziemy do łóżka. - Puścił oko do Craiga. - Uwierz mi, to całkiem niezły sposób na życie.

- Zazdroszczę ci, Scotty. - Temple wzięła od Craiga filiżankę po kawie. - Znajdź mi faceta podobnego do twojej żony, a natychmiast go poślubię.

- Do Steph?

- No, kilkoma detalami powinien się różnić.

Craig schował notatnik i rozpoczął ostatnie przygotowania do startu.

- Czy naprawdę umiesz myśleć tylko o małżeństwie? - skrzywił się, patrząc na przyjaciela.

- Czyżby cierpła wam skóra? - roześmiał się Scotty.

- Mnie nie - zastrzegła się Temple. Dobrze wiedzieć, że Craig nadal jest przeciwnikiem stałych związków, pomyślała. - Wyjdę za mąż, jeśli znajdę odpowiedniego mężczyznę.

- Stoi przed tobą, kochanie. - Craig puścił do niej oko, a Temple po raz kolejny poczuła, jak przechodzą ją dreszcze. - Może szukasz nie tam, gdzie trzeba - ciągnął, patrząc na mapę.

- To mi powiedz, gdzie powinnam, a chętnie skorzystam - odparła sucho.

- Ba, gdybym wiedział, sam bym poszukał. - Craig odłożył mapę i uśmiechnął się do załogi. - Gotowi do startu?

- Tak jest, kapitanie! - zasalutowała Temple.

Potem jak co dzień zajęła się obsługiwaniem pasażerów. Lubiła to zajęcie; w pracy spotykała tak różne osobowości, że nigdy się nie nudziła.

Starła się traktować indywidualnie każdego z podróżnych. Z wieloma z nich, którzy regularnie korzystali z usług linii Sparrow, zdążyła się nawet zaprzyjaźnić. Wymieniali między sobą życzenia świąteczne i od czasu do czasu listy.

Po dziesięciu godzinach lotu, podczas których siedem razy dotykali ziemi w różnych portach, wylądowali z powrotem w Dallas.

Kiedy ostatni pasażer opuścił pokład, Temple zabezpieczyła naczynia w kuchence, poukładała czasopisma, potem wzięła torbę podróżną i wetknęła głowę do kabiny pilotów.

- Potrzebujecie jeszcze czegoś? - spytała.

- Dziękujemy, już się zbieramy - odparł Scotty.

Ostatnia kontrola postartowa i pięć minut później trzyosobowa załoga saaba zmierzała w stronę terminalu.

- Co robisz dziś wieczorem, Scotty? - dopytywał się Craig.

- Nic szczególnego. Miło odpoczywam w domowych pieleszach.

- A ty, Temple? Masz jakąś gorącą randkę?

Na sam dźwięk głosu Craiga poczuła w środku miłą falę ciepła.

- Nie mam nawet letniej.

- Ty??? Co się stało?

- Po prostu jestem zmęczona.

- Zbyt wiele zarwanych nocy...

- Jasne, podobnie jak u ciebie - odcięła się.

- Kto z was zje ze mną jutro śniadanie przed lotem? - spytał Craig.

- Ja odpadam - zastrzegł się Scotty. - O tej porze nie przełknę ani kęsa.

- A ty, Temple?

- Przykro mi, ale nie mam siły wstawać wcześniej, niż muszę.

- Trudno. Do zobaczenia

Craig dotknął czubkiem palca daszka czapki i poszedł w stronę hali. Temple i Scotty zostali z tyłu.

Temple ogarnął żal. Z rozkoszą zjadłaby śniadanie w towarzystwie Craiga, ale odkąd zdała sobie sprawę, co się z nią dzieje, wołała nie ryzykować. Za nic na świecie nie chciała zrobić z siebie idiotki w oczach przyjaciela

- Wpadnij do nas na obiad w przyszłym tygodniu - zaproponował Scotty. - Stephanie wspominała któregoś dnia że dawno się nie widziałyście.

Temple zawahała się. Wiedziała że Scotty ma ochotę wyswatać ją z którymś ze swoich kumpli.

- A nie będziesz meblować mi życia? - spytała. - Wolę to robić sama

- Niedobra dziewczyna! - Scotty zrobił minę zranionego bassetta - Sądziłem, że lubisz moich przyjaciół.

- Lubię ciebie i Steph. Żaden z twoich kolegów nie przypadł mi do gustu.

- Słoneczko, Steph po prostu zaprasza cię na obiad. - Scotty był nadzwyczaj uparty.

- W środku tygodnia? Może po prostu wpadnę na herbatę?

- Obiad i już - nie ustępował Scotty.

- Dobrze - uległa - Rzeczywiście, dawno nie widziałam twojej żony i dzieciaków. Daj znać, kiedy mam przyjść i co ze sobą przynieść.

- Świetnie.

Scotty udał się prosto ku automatom telefonicznym, by powiadomić Steph, że wylądowali szczęśliwie. Jego żona czekała na wiadomość. A kto czeka na wiadomość ode mnie? pomyślała Nikt, odpowiedziała

natychmiast. Naprawdę pora związać się z kimś na dobre. Byle odpowiednim.

Odruchowo spojrzała ku hali, szukając wzrokiem Craiga. Jej przyjaciel opuścił już jednak terminal. Poczwała w duszy nagłą pustkę. Pomachała Ginny na pożegnanie i poszła na parking.

Craig ledwo zdążył wejść do mieszkania, kiedy zadzwonił telefon. Zmęczonym ruchem podniósł słuchawkę. Zmarszczył brwi, słysząc po drugiej stronie głos Jeffa Sharpa.

- Witaj, Jeff. O co chodzi?

Przez chwilę ze skrzywioną miną słuchał, co mówi kolega.

- Chciałbym ci pomóc, chłopie, ale...

Jeff przerwał Craigowi i gorąco go do czegoś przekonywał.

- Rzeczywiście wydaje się miła, ale czy nie mógłby się nią zająć Sam? Byłem bardzo zajęty. Chyba zostanę w domu, podgrzeję sobie jakieś gotowe danie, odpocznę...

Jeff nie dawał za wygraną. Craig odetchnął głęboko. Najpierw Scotty, teraz ten.

- No dobrze, skoro już kupiła bilety... Szkoda żeby się zmarnowały. To o której mam po nią podjechać?

Cisnął słuchawkę na widełki i ściągnął marynarkę. Do diabła, przyjaciele mogliby mu w końcu dać spokój. Ile razy ma im powtarzać, że sam sobie znajdzie odpowiednią kobietę? Dlaczego musi dziś oglądać pokaz na lodzie???

Wieczór niedobrze się zaczął, ale była to jedynie przygrywka do tego, co miało nastąpić później.

- Spóźnimy się - oznajmiła Gina, drobna brunetka, spoglądając po raz piąty na zegarek. Od stadionu dzieliły ich zaledwie dwie przecznice.

- Jeśli, to niewiele. Zdążymy przed pierwszym aktem - zapewnił z uśmiechem Craig.

Łyżwiarze właśnie kończyli rozgrzewkę, kiedy Gina i Craig zajmowali swoje miejsca. Po pięciu minutach właściwego pokazu zgasły wszystkie światła. Widzowie jęknęli, rozczarowani. Najgłośniejszą dezaprobatę wyraziła Gina.

Po dziesięciu minutach zjawił się konferansjer.

- Panie i panowie, serdecznie przepraszamy za awarię - zwrócił się do publiczności. - Niestety, wysiadł nam główny transformator i dzisiejsze przedstawienie nie może się odbyć. Wszyscy otrzymają bilety na spektakl w innym terminie. Jeszcze raz przepraszamy i dziękujemy za zrozumienie i współpracę.

- To po prostu nie do wiary! - kręciła nosem Gina. - Przez godzinę przedzieraliśmy się w korku, by tu dotrzeć, a pokaz jest odwołany?

Dla Craiga opóźnienia czy odwołania nie były niczym nowym. Jako pilot często miał z tym do czynienia. Starał się, jak mógł, by uratować nieudany wieczór.

- Takie rzeczy się zdarzają - uspokajał Ginę. - Może jesteś głodna? Wpadlibyśmy do cukierni na bezy z cytrynowym kremem...

- Jestem na diecie!

- Wobec tego proponuję cappuccino u...

- Jeśli o tej porze wypiję kawę, przez całą noc nie zmrużę oka - dąsała się Gina. - Chciałam obejrzeć pokaz na lodzie!

Widzowie podnieśli się z miejsc i narzekając po cichu, zbierali się do wyjścia.

- Ustawię się w kolejce do kasy po nowe bilety - zaproponował Craig. - To nie potrwa dłużej niż pięć minut. Poczekaj na mnie w holu, dobrze?

- To wszystko doprowadza mnie do szału! - Gina szarpnęła rączkę torebki. - Co oni sobie myślą? Że ludzie nie mają nic lepszego do roboty, tylko przychodzić na pokaz, kiedy im się podoba? Każdy ma swoje plany. Powinni zwracać należność za bilety i tyle!

- Pójdę do kasy - powtórzył cierpliwie Craig.

- Równie dobrze mogę iść z tobą - stwierdziła Gina.

Wspaniale, pomyślał Craig. Miał nadzieję odpocząć chwilę od tej zrzędy.

Zdaniem Giny ogonek posuwał się zbyt wolno. Zniecierpliwiona stuknęła polakierowanymi paznokciami o torebkę.

- Pójdę zobaczyć, dlaczego to się tak ślimaczy - oświadczyła stanowczo.

- Nie ma potrzeby, Gino. Poczekajmy spokojnie na swoją kolej.

- Jeśli ktoś nie zrobi porządku, będziemy tu sterczeć przez całą noc.

Wyraźnie sugerowała, że tym kimś powinien być Craig. Zanim zdążył ją powstrzymać, pomaszerowała do holu. Craig wyszedł z kolejki i poszedł jej szukać.

Ginie udało się trafić na kierownika imprezy. Wczepiła się jaskrawoczerwonymi pazurami w jego koszulę i potrząsając nie-szczęśnikiem, wysyczała:

- Żądamy zwrotu gotówki!

- Szanowna pani, nie mogę tego zrobić - bronił się mężczyzna.

- Doprawdy? Nie ruszę się stąd na krok, dopóki wszyscy nie dostaną swoich pieniędzy! Przytrzymam kolejkę nawet przez całą noc! Jeśli to nie pomoże, wezwę adwokata. Zobaczymy, jak szybko zmieni pan zwyczaj!

- Gino, nie urządź sceny - poprosił Craig. Popatrzył uważnie na jej profil. W tej chwili przypominała wściekłą łoś.

Nieoczekiwanie tłum poparł żądania Giny. Nagle wszyscy zaczęli żądać zwrotu pieniędzy. Craigowi zrobiło się żal biednego kierownika, który próbował przekonać niedoszłych widzów, że ma upoważnienie jedynie do wymiany biletów. Gina czując aprobatę innych, podniosła głos.

- Pan chce nas wykiwać! - wrzeszczała. - Jak pan śmie! Nie po to traciliśmy czas na dojazd, żeby to powtarzać. Pieniądze na stół, słyszy pan?

Jeszcze mocniej ścisnęła mężczyznę za poły koszuli.

- Proszę się uspokoić, bo wezwę ochronę - nie wytrzymał kierownik.

- Tylko spróbuj, bubku! - darła się Gina. - Natychmiast zmusz tego palanta, żeby nam oddał pieniądze - zwróciła się do Craiga.

Craig marzył tylko o tym, żeby wyciągnąć swoją partnerkę z holu, zanim jeszcze bardziej narozrabia.

- Czy możemy jakoś odzyskać nasze pieniądze? - spytał kierownika.

- Gdyby pan nam pomógł...

- To niezgodne z zasadami - powtórzył mężczyzna.

- Rozumiem, ale ta pani się denerwuje i...

- Nie zwracamy żadnych pieniędzy, tylko wymieniamy bilety. Proszę natychmiast stąd wyjść.

- Jak on śmie tak się do nas odzywać! - Gina zawyła jak rozjuszona hiena. - Żądam widzenia z dyrektorem!

Craig pociągnął wrywającą się kobietę ku wyjściu. Był pewien, że dojrzał swego pracodawcę ze Sparrow, który mógł być świadkiem całego zajścia. Gina zapała się obcasami o posadzkę i nie chciała zrobić ani kroku dalej.

- Muszę tam wrócić i załatwić sprawę! - krzyczała. - Nie ujdzie mi to na sucho!

- Gino, ja nigdzie nie wracam - zaprotestował Craig.

- A ja tak! Zapłaciłam za bilety i nie pozwolę sobą pomiatać.

Wyrwała się i pomaszerowała z powrotem do holu.

Zirytowany Craig przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem. Nigdy dotąd nie zostawił samej kobiety, z którą był umówiony, ale dla Giny postanowił zrobić wyjątek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Skarbie, znowu orzeszki?

Niech cię lichy! zakląła pod nosem Temple, kiedy kolejny podróżny zaczął ją męczyć tym samym pytaniem. Właśnie tam i z powrotem przemierzała wąskie przejście między rzędami foteli, serwując dwudziestu dwóm pasażerom kawę, soki, orzeszki ziemne, ciasteczka i gazety.

Kiedy po raz pierwszy starała się o pracę w liniach lotniczych, sądziła, że życie stewardesy to wspaniała, olśniewająca przygoda. Szybko zrozumiała, jak bardzo się myliła. Większość godzin na pokładzie spędzała na nogach, w nieustannym biegu. Każdego pasażera należało sprawnie obsłużyć, uwzględniając indywidualne życzenia. Jakby tego było mało,

codziennie miała do wypełnienia stosy drobiazgowych sprawozdań. Żeby zdążyć na lot o szóstej rano, musiała wstawać za kwadrans czwarta, gdyż przedtem jeszcze czekała ją odprawa. Przemierzając hol portu lotniczego, przez chwilę czuła się jak gwiazda, ale wszystko, co działo się przedtem i potem, było czystą harówką. Pomimo to kochała swój zawód.

Dzisiejszy dzień był jednak wyjątkiem. Od samego rana spotykały ją drobne przykrości. Przede wszystkim Craig i Scotty postanowili zabawić się jej kosztem: prowadzili maszynę w przechyle i choć pasażerowie niczego nie zauważyli, ona prawie nie mogła się poruszać wózkami w wąskim przejściu.

Przerwy między lotami trwały niecałą godzinę, co sprawiało, że praktycznie nie było kiedy odpocząć. Dzieli pracy dłużył się w nieskończoność. Temple marzyła już tylko o kąpieli w wannie z masażem podwodnym i spokojnym wieczorem.

Dziesięć po trzeciej opuszczali Memphis i wracali do Dallas. Temple zamknęła drzwi wejściowe, zajęła swoje miejsce i zapięła pas bezpieczeństwa. Kiedy samolot kołował na pas startowy, zaczęło co chwila mrugać światelko przy jej fotelu. Po kolejnym fałszywym sygnale Temple włączyła interkom.

- Czy mogę prosić, aby dziecko z dwanaście ce przestało się bawić przyciskiem? - spytała. - Dziękuję.

Podczas wznoszenia się samolotu rozwścieczony dzieciak darł się, ile sił w płucach.

Kocham swój zawód, powtarzała cicho Temple. Po szczęśliwym wylądowaniu w Dallas z ulgą zakończyła służbę.

Wychodziła już z holu, rozkoszując się myślą o wspaniałej kąpieli, kiedy drogę zastąpił jej Scotty.

- Hej, maleńka! - zawołał. - Nastąpiła mała komplikacja w związku z dzisiejszą kolacją.

Całkiem zapomniała o zaproszeniu. Z przerażeniem pomyślała, o jakąż to „małą komplikację” może chodzić.

- Zaprosiłem Jona Bennetta...

- Scotty... - rzuciła ostrzegawczo Temple.

- Daj spokój. Uprzedzałem Stephanie, że dość masz randek w ciemno, ale ona sądzi, że ty i Jon możecie przypaść sobie do gustu. Musisz poznawać nowych mężczyzn, bo w jaki sposób znajdziesz tego najlepszego?

Temple poddała się, wzdychając ciężko.

- No dobrze, kim jest ten Jon Bennett? Kawalerem, rozwodnikiem?

- Znamy go od niedawna. Spotkaliśmy się parę tygodni temu u wspólnych przyjaciół. Wygląda interesująco. Pracuje dla jakiejś spółki telefonicznej. W towarzystwie kobiet trochę się peszy, ale jest całkiem sympatyczny.

No cóż, jak dotąd, wszystko brzmiało nieźle.

- Wobec tego o jakiej komplikacji mówiłeś?

- Jon zadzwonił do Steph i spytał, czy nie mogłabyś go do nas podzucić. Jego samochód podobno utkwiał w pasażu.

- Gdzie?

- Tak powiedział.

- Nie może zamówić taksówki?

- Pewnie może, ale co się stanie, jeśli po niego podjedziesz?

Naprawdę masz po drodze.

- Wiesz, Scotty...

- Czekamy o siódmej. Bądźcie punktualnie. Steph nienawidzi podgrzewać mięsa.

- Po co mi ten kram! - jęknęła rozdrażniona Temple.

- Przywieź tylko Jona i tyle - przerwał jej narzekania Scotty.

- No dobrze. Czy twoim zdaniem facet jest chociaż godny zaufania?

- Sądzę, że tak. Poza tym zabawny, interesujący, jedynie trochę nieśmiały.

Doszli do parkingu i Temple z rozczarowaniem stwierdziła, że miejsce Craiga jest już puste. Przynajmniej nie tracił czasu, pomyślała

- Zapamiętaj, jeśli facet okaże się do kitu, zapłacisz mi za to.

- Czyżbym kiedykolwiek wpuszczał cię w kanał?

- Nie kpj ze mnie, drogi przyjacielu. Fantastyczny z ciebie pilot, ale swat do niczego. Mam ci przypomnieć Luca Cartera?

- O rany, skąd mogłem wiedzieć, że właśnie wyszedł z więzienia?

- Jak mówi przysłowie: „Nie kupuj kota w worku”. Zakładam, że tym razem wszystko sprawdziłeś.

- Obrażasz mnie!

- Całkiem świadomie.

- Nie bądź cyniczna. Poczekaj, aż poznasz Jona. Może to będzie strzał w dziesiątkę.

Temple tylko westchnęła i na odwrocie broszurki zapisała adres podany przez Scotta.

- Zadzwoń do Jona i uprzedź go, że podjadę około szóstej.

- Doskonale.

Scotty i Stephanie nie przepadali za pompą, dlatego na prośzoną kolację w ich domu Temple ubrała się swobodnie. Włożyła białe jedwabne

szorty i bladozieloną jedwabną bluzkę. Szybko wysuszyła włosy, zadowolona, że zmieniła fryzurę. Z nową nie miała żadnych kłopotów. Musnęła tuszem rzęsy, pomalowała wargi, zgasiła światło i wyszła.

Chociaż adres, który podał Scotty, nie był jej znany, znalazła go bez trudu. Mieszkanie Jona mieściło się w budynku z eleganckiego starego piaskowca. Temple lekko pchnęła furtkę z kutego żelaza i poprzez niewielki, dobrze utrzymany ogródek ruszyła ku podwójnym drzwiom z mrożonego szkła. Wewnątrz gmachu elegancja się kończyła. Architektoniczną urodę holu zakłócał poplamiony zielony dywan i brudnobure ściany. Jedynie rzeźbione dębowe schody nie poddały się działaniu czasu i mimo braku konserwacji zachowały dawne piękno.

Temple podeszła do biurka ochroniarza i podała mu swoje nazwisko. Po upływie kilku minut na schodach pojawił się jakiś mężczyzna. Wysoki i chorobliwie chudy, wydawał się sporo od niej starszy. Ubrany był w spodnie khaki, biały golf i skórzane mokasyny. Na nosie miał okulary, zasłaniające mu połowę twarzy.

- Mam przyjemność z Jonem? - zagadnęła z uśmiechem Temple.

Twarz mężczyzny oblała się czerwienią, która pokryła nawet uszy. Sterczały z ostrzyżonej na jeża głowy jak dwie ogromne piwonie.

W duszy Temple odezwał się alarmowy dzwonek.

- Witaj - szepnął mężczyzna tak cichutko, że ledwo usłyszała, co powiedział.

- Jestem Temple Burney. - Wyciągnęła dłoń.

- Miło mi - powiedział zamierającym głosem. Najpierw tuba, teraz mruk. Ja to mam szczęście, pomyślała

- Jesteś gotów? - spytała.

- Tak - zaszemrał Jon.

Przeczuwała już wiszącą w powietrzu katastrofę, ale mimo to dzielnie ruszyła w stronę pikapa. Nie chciała zawieść Stephanie, która z pewnością włożyła wiele wysiłku w przygotowanie kolacji. Ze Scottym policzę się później, obiecała sobie.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko jeździe półciężarówką - zagadnęła Jona, kiedy doszli do krawężnika. - Bardzo się do niej przywiązałam i nie umiem się z nią rozstać.

- Nicifko.

Temple aż otrząsnęła się, gdyż wydawało jej się, że Jon powiedział: ty dziwko. Nie, to niemożliwe. Musiała się przesłyszeć. Scotty uprzedzał, że Jon jest nieśmiały, ale nie chamski. Kiedy się odpreży, na pewno będzie lepiej. W tej chwili tkwił przyklejony bokiem do drzwi pasażera. Temple próbowała ciągnąć rozmowę. Zupełnie nie słyszała odpowiedzi Jona, za to widziała wysiłek jego rozbieganych oczu, które jak mogły, unikały jej wzroku. Mężczyzna przypominał wielką starą jaszczurkę, usiłującą za wszelką cenę wydostać się z pułapki. Temple westchnęła ciężko i zajęła się już tylko prowadzeniem samochodu.

Pół godziny później zjechali z autostrady, by znaleźć się w zadbanej dzielnicy jednorodzinnych domków, otoczonych przez niewielkie ogródki. Do każdego domku prowadziła obsadzona kwiatami ścieżka.

Posesja Scotty'ego i Steph mieściła się przy ślepej uliczce. Kiedy Temple skręciła w nią, już z daleka poczuła smakowity zapach pieczonego na grillu mięsa. Zaparkowała przy krawężniku, między dwoma porzuconymi dziecięcymi rowerkami, i ruszyła w stronę drzwi. Jon sunął za nią w milczeniu jak cień. W tej chwili najchętniej udusiłaby go własnymi rękami.

- Jak się macie? - Rozpromieniony Scotty powitał gości u progu. Temple, wchodząc do środka, przysunęła się do niego i wbiła mu torebkę w brzuch.

- Zapłacisz mi za to, misiaczku - obiecała szeptem.

Scotty zrobił zdziwioną minę. Wylewnie przywitał się z Jonem i zaprosił go do wnętrza.

Dwoje starszych dzieci Scottów, słysząc w holu odgłosy powitania, wypadło ze swoich pokojów i galopem zbiegło po schodach. Temple serdecznie wyściskała niesfornych malców: Pete'a, istną miniaturkę swego ojca, i Cari, która odziedziczyła delikatne rysy matki. Scotty przedstawił dzieci Jonowi, po czym kazał im wracać na górę i zająć się oglądaniem filmów z kaset. Chłopiec i dziewczynka z piskiem opuścili hol.

W kuchennych drzwiach pokazała się Steph z niemowlęciem na ręku. Na szyi miała pieluchę, mającą chronić sukienkę przed śliną ciekącą z ust dziecka. Przywitała się z gośćmi i poprosiła męża, by podał im drinki, nim ona dokończy szykować kolację.

- Na co macie ochotę? - Scotty podszedł do barku i wrzucił do szklanek kostki lodu.

- Dla mnie woda mineralna - powiedziała Temple.

- Co masz - wyszeptał Jon.

Scotty popatrzył pytająco na koleżankę. Wzruszyła tylko ramionami. W tej sytuacji nalał do szklanki whisky, dopełnił ją wodą i podał Jonowi.

- Jak ci leci w branży? - zapytał życzliwie.

- Dobrze.

Temple i Scotty uśmiechnęli się do siebie, bo nareszcie zrozumieli, co Jon odpowiedział. Scotty postanowił pójść na całego.

- Masz dużo pracy, prawda?

To nie było bezpieczne pytanie. Jon zaczął coś opowiadać, ale z wyszemranych jednym tchem kilkudziesięciu słów nie wyłapali znaczenia ani jednego.

Stephanie pojawiła się znów ze śpiącą córeczką w objęciach.

- Położę małą do łóżeczka, a potem usiądziemy do kolacji.
- Pomogę ci. - Temple stanęła obok przyjaciółki.
- Dziękuję, nie trzeba. Zostali z Jonem, musicie się lepiej poznać.

Zrezygnowana Temple opadła na kanapę. Zerknęła na Jona.

Twarz miał czerwoną jak burak, nerwowo kręcił głową, rozglądając się dokoła. Jest coraz gorzej, pomyślała. Nie wróżę temu spotkaniu niczego dobrego.

Niestety, miała rację. Kolacja okazała się istną męką. Wysiłki Steph poszły na marne. Trudno było docenić jej kulinarny kunszt, kiedy z ust Jona co chwila padały jakieś bezsensowne słowa. Troje przyjaciół czyniło nadludzkie wysiłki, aby jakoś podtrzymać sztuczną konwersację, choć żadne z nich nie miało pojęcia o czym mówi Jon.

- Naprawdę twój kot zginął pod kołami samochodu? - spytała Steph po którejś jego opowieści.

Jon wyszemrał jakieś wyjaśnienie.

- Jakie to smutne. - Wszyscy pokiwali głowami.

- Kiedyś także mieliśmy kota - ciągnęła Stephanie - ale zestarzał się i musieliśmy go uspić. - Westchnęła. - Bardzo nas to przygnębiło. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mieli stracić jakieś zwierzątko w wypadku.

- Mogłeś go chociaż pochować? - dopytywał się Scotty. - Właściciele zwierząt domowych coraz częściej to robią. Niedaleko stąd jest specjalny cmentarz.

- Łotzosalony - szepnął Jon.

- Został spalony? Pierwszy raz słyszę o kremacji zwierząt - przyznała Stephanie. - Zaraz podam kawę i ciasto.

Zanim deser pojawił się na stole, Temple miała już potworną migrenę. Zabawa w głuchy telefon bardzo ją zmęczyła. Wykorzystała moment, w którym Jon powiedział (albo przynajmniej tak jej się wydawało), że powinni wyjść koło dziewiątej, i natychmiast zerwała się na równe nogi.

- Kolacja była pyszna - zwróciła się do Steph.

- Chodź ze mną do kuchni, zawinę wam po kawałku ciasta - zaproponowała przyjaciółka.

Jon mruknął coś, co zabrzmiało jak: „twardo cię powieszę”, ale Temple i tak ruszyła za Stephanie, gdyż była pewna, że chciał powiedzieć „bardzo się cieszę”.

Niemal z czułością pomyślała o Darrellu. Po dzisiejszym doświadczeniu z Jonem nie wydawał jej się taki straszny.

- Rozumiem, że już nigdy się z nim nie spotkasz - szepnęła Steph do Temple, kiedy zamknęły za sobą kuchenne drzwi.

- Mało prawdopodobne - przyznała Temple.

- Przykro mi, że cię w to wrobiłam. Nie miałam pojęcia, że jest takim mrukiem.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją Temple. - W sumie jest całkiem miły, choć rzeczywiście rozmowa z nim to męka

Około wpół do dziesiątej Temple wysadziła Jona przed jego domem. Stał na chodniku z ciastem w ręku i wyglądał jak kupka nieszczęścia.

- Jęwileczór - szepnął.

- Słucham? - zapytała Temple.

- Było mi miło - podniósł nieco głos.

Temple pokiwała głową i uśmiechnęła się życzliwie.

- Przykro mi z powodu twojego kota - powiedziała Wcisnęła sprzęgło, wrzuciła bieg i odjechała. Nie mogła już usłyszeć, jak Jon mamrocze sam do siebie:

- Nie miałem żadnego kota Przecież mówiłem im dwa razy, że mój samochód wpadł na płot. Pogłuchli wszyscy, czy co?

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Już wiem, jaki mamy problem - oznajmiła Temple.

- Naprawdę? - zdziwił się Craig, spokojnie popijając kawę. Jakiś defekt techniczny opóźnił start ich samolotu.

Temple i Craig czekali w bufecie na informację, czy nastąpią zmiany w rozkładzie lotów.

- Mówię poważnie. Dużo o tym myślałam.

- No dobrze. Nie bardzo rozumiem, ale czekam na wyjaśnienia. - Craig posłodził kawę.

- Chodzi o nasze randki w ciemno. Zabieramy się do tego kompletnie bez sensu. - Temple ścierpła skórą na samą myśl, że miałyby się kiedykolwiek jeszcze spotkać z jakimś Jonem Bennettem czy Darrellem... cholera, jak on miał na nazwisko?

- To znaczy, że można zabierać się lepiej lub gorzej? - spytał Craig.

- Chyba tak. Najwyraźniej popełniam jakiś błąd, bo skąd tylu nieudaczników na mojej drodze?

- Niemała w tym zasługa Scotty'ego, nie sądzisz?

Temple wzdygnęła się na wspomnienie ostatniej kolacji u przyjaciół.

- Ostatnio umówił mnie z facetem, który opowiadał tylko o swoim zdechłym kocie.

Craig uniósł kubek do ust i popatrzył przeciągle na Temple.

- Domyślam się, że znalazłaś rozwiązanie?

- Przecież to takie proste! - Temple odstawiła swój kubek i klasnęła w dłonie. - Kto zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie? A kto czyta w twojej duszy jak w otwartej księdze?

- Nikt.

- No, zastanów się chwilę.

- Chodzi ci o nas? O to, że znamy się jak łyse konie?

- Masz jakieś wątpliwości? Craig wzruszył ramionami.

- Od tej pory ja będę cię umawiać z moimi przyjaciółkami, a ty zorganizujesz mi randki z twoimi kolegami - zaproponowała Temple.

Ręka Craiga, w której trzymał kubek, zawisła w połowie drogi do ust.

- Wydawało mi się, że niegdyś oboje przyznaliśmy, iż nie najlepiej umiemy swatać.

- Tym razem to co innego, chodzi o nas samych - upierała się Temple. - Znamy swoje upodobania i na pewno wyszukamy dla siebie nawzajem najbardziej odpowiednich partnerów. - Pochyliła się ku Craigowi, podniecona swoim pomysłem. - Przemyśl to, proszę. Skończą się randki z piekła rodem.

Tuby megafonowe i mruki, dodała w myśli.

- Przekonałam cię?

- Nie. - Craig dopił kawę i skinął na kelnerkę.

- Przecież to wspaniałe rozwiązanie - upierała się Temple. - Wiemy nie tylko, co lubimy, ale również to, czego żadne z nas nie strawi.

Craig nadal nie był przekonany.

- Jesteś o wiele bardziej zainteresowana małżeństwem niż ja - odparł.
- Ile razy mam powtarzać, że odpowiada mi moje obecne życie? Jeśli ty chcesz za mnie wyjść, to co innego. W przeciwnym razie pozwól, bym sam się zajął własnymi sprawami.

Oświadczenie Craiga całkiem zaskoczyło Temple. Myśl o poślubieniu go spowodowała przyspieszone bicie jej serca. Wiedziała co prawda, że żartował, ale co z tego! Jej wyobraźnia zaczęła pracować.

- Jasne, że wyjdę za ciebie - zaszarżował. - Nie zauważyłam tylko, byś o to prosił!

Na krótką chwilę ich spojrzenia się spotkały. Temple, wstrzymując oddech, czekała, aż Craig w jakiś głupawy sposób wykpi jej deklarację. Nie zrobił tego jednak.

- Chyba nie słuchałaś - powiedział spokojnie.

- Co?

Craig uciekł spojrzeniem w dal.

- Opowiedz lepiej o swoim pomysle.

Temple musiała dojść do siebie, nim zaczęła wyklądać swój plan.

- Oboje mieliśmy pieskie szczęście do randek z różnymi obłąkańcami. Chciałabym, żebyś w końcu spotkał kogoś, kto cię uszczęśliwi; kogoś, kto o ciebie zadba.

Craig wpatrywał się w denko kubka, jakby rozważał słowa Temple.

- Czego właściwie oczekujesz od mężczyzny? - spytał w końcu.

- Tego samego, co większość kobiet. Żeby był miły, wrażliwy, troskliwy, kochał dzieci i zwierzęta.

Żeby potrafił normalnie rozmawiać i nie ekscytował się pokazami delfinów, dopowiedziała w myśli.

- Poza tym musi być męski, prawda?

- Oczywiście.

Craig rozłożył ramiona na oparciu ławy.

- Wiesz co, lepiej daj sobie ze mną spokój. Sam znajdę odpowiednią kobietę dla siebie.

Temple zignorowała jego słowa.

- Zaczniemy od Gabrielle - oświadczyła, popijając kawę.

- No, no. Jeśli mam przystać na ten zwariowany plan, zaczniemy od Billa - zaproponował Craig.

- Od Gabrielle - upierała się Temple. - Jest wspaniałą kobietą.

Zabawna, otwarta...

- Bill jest troskliwy, wrażliwy...

- Nazywa się Nielsen. Musisz ją pamiętać. Była moją współlokatorką.

Temple wołała nie wspominać o drugiej koleżance z pokoju: Nancy Johnson.

- Gabrielle naprawdę jest bardzo sympatyczna, Craig. Spokojna, beztroska. Kocha dzieci i zwierzęta. Musisz ją polubić. - Temple zamilkła na chwilę. - Macie ze sobą wiele wspólnego. Gabrielle pracuje dla linii TWA. Muszę się dowiedzieć, co robi w sobotę wieczorem. Jeśli nie ma nocnej zmiany, na pewno zechce...

- Poczekaj - przerwał jej Craig. - Chciałbym najpierw się dowiedzieć, w co wchodzi, zanim...

- Jasne. Natychmiast do niej dzwonię.

- Posłuchaj, Temple. Jeśli chcesz mi znaleźć zajęcie na sobotni wieczór, po prostu wpadnij do mnie. Upieczemy sobie steki, pooglądamy telewizję, odpoczniemy...

Temple nie słuchała go jednak. Poszła już telefonować. Po dziesięciu minutach wróciła, uśmiechnięta od ucha do ucha.

- Temple, zgodziłem się spotkać z tą kobietą tylko dlatego, żeby ci udowodnić, iż twój plan jest bez sensu. Nie mam ochoty z nikim się umawiać!

- Uwierz mi, Gabrielle na pewno ci się spodoba - odparła Temple, ignorując jego słowa.

Craig stał przed lustrem, mocując się z zasupłanym węzłem krawata. Nastrój miał kiepski. Wyrzucał sobie, że tak łatwo uległ namowom Temple. Zamiast marnować wieczór z nieznaną, która nic go nie obchodziła, mogli spędzić go we dwójkę. Dlaczego bardziej na to nie nalegał? Przecież przyznała, że ma wolny wieczór. Jeśli nie miała ochoty na pieczenie steków, zamówiliby jakieś chińskie dania. Gabrielle mogła być najbardziej czarującą dziewczyną pod słońcem, ale jego zdaniem żadna kobieta nie dorastała Temple do pięt. Oczywiście, nigdy jej tego nie powiedział.

Nie rozumiał jej ślepego oporu przeciwko wiązaniu się z lotnikami. Przecież tak dobrze mogłoby być im razem. Dopóki jednak nie zmieni zdania na temat niełączenia życia prywatnego z pracą, musiał się pogodzić z jej zwariowanymi poglądami.

Gwałtownym ruchem szarpnął krawat i z rozpaczą cisnął go na łóżko. Kiedy w końcu nauczy się mówić „nie”? Takie proste słowo, a nie mógł go powiedzieć Temple.

Popatrzył w lustro. Ale się wygłupił, proponując jej małżeństwo!
„Wyjdę za ciebie. Nie zauważyłam tylko, byś o to prosił”.

Czy mówiła to poważnie?

Daj spokój, chłopie. Gdzie ty masz rozum! Jasne, że żartowała.

Dokładnie dwadzieścia pięć po siódmej Craig zaparkował lincolna przed domem Gabrielle. Spojrzał na pierwsze piętro i westchnął głęboko z rezygnacją. Kilka minut później dzwonił do drzwi, rozglądając się po szerokim korytarzu. Kiedy właścicielka mieszkania pojawiła się w progu, Craig wyraźnie się ożywił. Gabrielle naprawdę była ładna. Pogodną twarz otaczały blond loczki, błyszczące jasnoniebieskie oczy figlarnie patrzyły na gościa. Jej strój również przypadł mu do gustu.

Połączenie jaskraworóżowych džinsów z wojskową bluzą wydało mu się zabawne.

- Jestem Craig Stevens, przyjaciel Temple - przedstawił się.

- Tu przyjaciółka Temple. - Gabrielle zachichotała. Mocno uścisnęła mu dłoń i zaprosiła do środka. - Entree.

Craig z uśmiechem przekroczył próg.

- Parlez-vous francais?

Craig znał francuski na tyle, by mieć świadomość, że nie da rady porozumieć się w tym języku.

- Bardzo słabo. Jesteś Francuzką?

- Nie, ale mnóstwo czasu spędzam w Europie. Pozwól, że powieszę twój płaszcz.

Craig wręczył Gabrielle swoje wierzchnie okrycie. Po chwili poczuł jakiś smród, który zaczął go przyprawiać o lekkie mdłości.

- Napijesz się piwa? - zaproponowała gospodyni.

- Jasne.

Kątem oka zauważył, że na podłodze coś się porusza. Ogromny szary kocur przemknął wzdłuż ściany, z pogardą łypiąc żółtymi ślepiami na Craiga. Chyba wyczuł, że nie jest on miłośnikiem zwierząt.

- To twój kot? - spytał.

- Jeden z pięciu - odparła Gabrielle, sięgając do lodówki. Wyjęła puszkę i zamknęła nogą drzwi. - W bloku trudno jest hodować tyle zwierząt, ale koty są mało kłopotliwe. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci zapach dolatujący z ich kuwet?

- Ależ skąd - skłamał.

Na samą myśl o kuwetach zbierało mu się na wymioty.

- Tak przypuszczałam. Lubisz koty?

- Prawdę mówiąc, nie wiem.

- Jako dziecko nie miałeś żadnego?

- Nie. - Raczej mało prawdopodobne, że zdecyduje się hodować jakiegoś teraz. A już na pewno nie pięć.

- To może psa?

- Też nie.

- No cóż... Może być lekkie piwo?

- Jak najbardziej.

Craig poszedł za Gabrielle do salonu. Przysiadł na brzeжку kanapy, powoli przesuując się ku oparciu, kiedy zauważył nastroszonego żółtego kocura, który leżał owinięty wokół nogi od stolika do kawy.

- Naprawdę powinieneś mieć kota - mówiła Gabrielle. - Koty są świetnymi towarzyszami, poza tym nie musisz im poświęcać zbyt dużo czasu, gdyż same dbają o siebie.

- Nie mogę trzymać zwierząt. Stale jestem poza domem.

- Wiem, Temple mówiła, że tak jak ona pracujesz na Fort Worth. Aż dziwne, że dotąd się nie spotkaliśmy.

Gabrielle opadła na podłogę i wzięła na kolana innego żółtego kota, który znienacka pojawił się w pokoju.

- Co słysząc u Temple? - spytała.

Craig przesunął się nieco na kanapie. Żółte koty dwoiły mu się w oczach.

- Nie widziałyście się ostatnio?

Uduszę Temple, postanowił, jeśli się okaże, że umówiła mnie z osobą, której sama nie znała zbyt dobrze.

- Nie. Latam na trasach międzynarodowych, głównie do Paryża. Rozmawialiśmy tylko przez chwilę, kiedy zadzwoniła w sprawie naszego spotkania. Jak jej leci?

- Dobrze.

Craig nagle zerwał się z miejsca, niemal wylewając piwo, gdyż jakiś kłębek futra przylgnął mu do uda. Próbował go strącić, ale kłębek przykleił się do jego wilgotnej dłoni. Pomyślał, że to jakiś stwór z innej planety, który zacznie się rozrastać i będzie rósł tak długo, aż całkiem go pochłonie. Wariujesz, stary, przywołał się do porządku. Naoglądałeś się „Z archiwum X” i tyle. Przecież to zwykły kłak.

- Przepraszam cię! - krzyknęła Gabrielle, odstawiając na bok swoją puszkę. - Mój chow-chow linieje.

- Masz również psa? - spytał Craig nieco drżącym głosem.

- Tylko dwa. - Gabrielle zbierała kłaczki sierści, które przylgnęły do spodni Craiga. - Chow-chow i rottweilera Wynajmuję dziewczynę, która wyprowadza je do parku, żeby się wybiegały. Właśnie są na spacerze.

Craig z trudem ściągnął z ubrania rude kłęby sierści, po czym odstawił szklankę z piwem na skraj stołu i dyskretnie wycierał ręce o spodnie.

Zupełnie nie zakłopotana Gabrielle przetała swoją puszkę, chwyciła futrzaną kulkę i cisnęła ją do wypełnionego po brzegi kosza na papiery.

Craig zdobył się na wymuszony uśmiech. Gabrielle cała się rozpromieniła.

Potem zapanowała cisza. Kiedy zaczęła się nadmiernie wydłużać, Craig naprędce wymyślił jakiś temat rozmowy.

- Mieszkałaś razem z Temple... - zaczął.

- Dzieliliśmy pokój. Byliśmy wtedy bardzo ze sobą zżyte. Temple jest fantastyczna - zachwycała się Gabrielle. Podrapała za uchem kocura, który zostawił w spokoju nogę stolika i podszedł do swojej właścicielki. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego dotąd nie wyszła za męża. Faceci wprost szaleją za nią, Ile ona ma lat? Trzydzieści dwa?

- Trzydzieści jeden. W grudniu obchodzi urodziny.

- Rzeczywiście! Ciągłe spotyka się z tym misiem?

- Misiem? - Craig zastanowił się przez chwilę. - Nigdy nie wspominała o żadnym „misiu”.

- No wiesz, z tym Steve'em. Była pewna, że w końcu trafiła w dziesiątkę, a ten facet zrobił ją w konia. Pracował w restauracji rybnej i wmawiał Temple, że knajpa należy do niego. Okazało się to kompletną bujną

Craig uśmiechnął się uprzejmie.

- Ach, ten...

Ubodło go, że nic nie wiedział o żadnym Stevie. Był pewien, że Temple mówi mu o wszystkim, a tymczasem się mylił.

- Właściwie dziwiłabym się, gdyby o nim wspominała. Cała historia zbyt mocno ją wkurzyła. Czy ty okłamujesz kobiety?

- Słucham?

- No, czy wciskasz im kity, tak jak Steve.

- Staram się tego unikać. - Chyba że mając pięć kotów pytają, czy czuję smród w mieszkaniu, pomyślał.

- Żadnych, nawet niewinnych kłamstw?

- Nigdy.

- Wobec tego pozdrawiam pierwszego uczciwego faceta w moim życiu. Na zdrowie!

Miał zamiar spełnić toast, kiedy z kuchni wyszły następne trzy koty. Przez chwilę maszerowały sztywno jeden za drugim po podłodze, po czym wskoczyły na oparcie kanapy i kontynuowały wędrówkę za plecami Craiga. Jedno ze zwierząt wczepiło mu się w ramiona i owinęło wokół szynicznym futrzany kołnierz. Przeszły go ciarki.

- Miłe kociaczki - rzucił słabym głosem.

- Prawda?

- Wspominałaś, że masz również dwa psy? - Skóra zaczęła go swędzieć.

- Tak, nazywają się Harry i David. Uwielbiam ich wyroby.

- Słucham?

- Nie znasz tych facetów? Otrzymałam pocztą ich cudowne katalogi. Pięką takie serniki, że świętego zmusiłyby do grzechu. Stąd wpadłam na pomysł, żeby nazwać psy ich imionami.

O rany, co za wariatka, pomyślał Craig.

W tym momencie otworzyły się wejściowe drzwi i do pokoju wpadł olbrzymi rudy chow-chow, a tuż za nim statecznie wkroczył rottweiler.

Wyzywająco popatrzył na intruza. Nastoletnia opiekunka spuściła podopiecznych ze smyczy i zniknęła w kuchni.

Chow-chow podbiegł do Craiga. Obwąchał nogawki jego spodni, po czym otarł się o nie, zostawiając na materiale gęste kłęby rudej sierści. Craig cofnął się ostrożnie.

- Przestań, Harry - skarciła pupila Gabrielle, chwytając go za obrozę. Uśmiechnęła się przepaszająco do swego gościa. - Ma ogromnie rozbudowane poczucie własności - wyjaśniła. - Od czasu do czasu musi oznakować swoje terytorium.

Rottweiler jak dotąd stał nieporuszony przy rogu stolika do kawy.

Harry wyrwał się z uścisku swojej pani i skoczył Craigowi na pierś, opierając łapy na nieskazitelnie czystej koszuli, po czym starannie wylizał mu twarz.

- Wyraźnie cię polubił - oznajmiła Gabrielle z rodzicielską dumą w głosie.

- Naprawdę powinieneś sprawić sobie zwierzaka - namawiała. Z kuchni wyszła opiekunka zwierząt, z kanapką w jednej i puszką napoju w drugiej ręce.

- Do zobaczenia - rzuciła i opuściła mieszkanie.

Ledwo wyszła, rozległ się dzwonek do drzwi. Gabrielle podskoczyła jak pajac na sprężynie.

- Pewnie przynieśli zeberka. Chyba nie masz mi za złe, że sama niczego nie ugotowałam. Kiepska ze mnie kucharka.

Poszła odebrać zamówione danie. Craig wykorzystał jej nieobecność, by odsunąć łokciem chow-chow i odpędzić koty, które zbyt natarczywie dobierały mu się do włosów. Miał ochotę natychmiast dać drapaka, ale został ze względu na Temple. W końcu Gabrielle była jej przyjaciółką.

Jak one w ogóle mogą się przyjaźnić? zastanawiał się. Mieszkanie Temple zawsze wyglądało jak pudełeczko. Unosił się w nim zapach wanilii. Craig czuł się tam wyśmienicie. Co wobec tego robił w tym zwierzyńcu?

- Dlaczego tak długo? - usłyszał, jak Gabrielle ruga posłańca z baru.

- Już myślałam, że się nie zjawisz.

- Przepraszam. Nie mogłem trafić. Gabrielle otworzyła kartonowe pudełko.

- Mięso jest całkiem zimne! - zawołała.

- Opuszczę pół ceny za spóźnienie. Na ulicach były korki.

Craig umknął kotom, dopadł do Gabrielle i wyrwał jej z dłoni pudełko z żeberkami. Chciał uniknąć podobnej sceny jak z Giną.

- Ile się należy?

- Dwanaście i pół.

Craig wręczył chłopcu piętnaście dolarów i zamknął drzwi. Gabrielle wzięła od niego kartonowy pojemnik.

- Zimne jak lód. Podgrzeję je w piecyku - dodała, kierując kroki w stronę kuchni. - Chcesz następne piwo?

- Dziękuję, jeszcze nie wypilem tego, które mam.

Stąpając ostrożnie, by nie nadeptać na któregoś kota, Craig wrócił na kanapę. Opadł na nią, mruczając pod nosem jakieś nieparlamentarne słowa. Czarne oczy rottweilera uważnie śledziły wszystkie jego ruchy. Gabrielle była w kuchni. Gdyby ogromne psisko postanowiło rzucić mu się do gardła, nie miałby szans.

- Mogę umyć ręce?! - krzyknął.

- Idź do sypialni, potem otwórz pierwsze drzwi po prawej - odpowiedziała Gabrielle.

Craig niepewnie wszedł do sypialni pani domu i stanął jak wryty. Na łóżku piętrzyły się stosy ubrań, pojedyncze sztuki zwisały z klamek i oparcie krzeseł. Takiego bałaganu nie widział nawet w kawalerskich mieszkaniach kolegów. Co na to Temple?

Przynajmniej łóżko jest zasłane, pomyślał. Wgłębienie w materacu świadczyło jednak o tym, że sypiały tam również zwierzęta.

Kierując się przykrym zapachem, Craig bezbłędnie trafił do łazienki. Zapalił światło, Ogromny czarny kot o roziskrzonych zielonych oczach leżał zwinięty w umywalce. Nie miał najmniejszego zamiaru ruszać się z miejsca.

Craigowi zakręciło się w nosie. Przenikliwy smród niemal zwał go z nóg. Zrzucił kota na podłogę i odkręcił kran. Po opłukaniu wytarł ręce dość czystym, o dziwo, ręcznikiem i odkrył, gdzie znajduje się źródło paskudnego odoru. Na podłodze stały trzy przepełnione torby ze śmieciami.

Opuścił sypialnię i poczuł smród jeszcze gorszy niż ten w łazience. Chyba palił się jakiś karton. Kiedy wszedł do kuchni, Gabrielle napełniała kocim pokarmem pięć misek ustawionych na gazecie w rogu pomieszczenia.

- Co tu się pali? - spytał.

- O rany! - krzyknęła.

Craig schwycił rękawicę i mocnym szarpnięciem otworzył drzwiczki piecyka, z którego wydostawały się kłęby czarnego dymu.

- Masz gaśnicę?! - wrzasnął.

- Nie mam. - Gabrielle bezładnie machała rękami, usiłując rozpędzić dym.

Craig złapał ścierkę i zdusił nią płomień na palącym się pudełku.

- Przed podgrzaniem należało wyjąć żeberka z pudełka - pouczył gospodynię domu.

- Naprawdę? - Zdziwiona uniosła brwi.

Craig ponownie odwiedził łazienkę i obmył ręce pod czujnym spojrzeniem niezadowolonego kota. Podjął niezłomne postanowienie, że za dziesięć, najdalej za piętnaście minut opuści zwariowany dom. Przynależał sobie, że Temple słono mu za ten wieczór zapłaci. Wrócił do salonu.

Gabrielle kończyła wykladać ostatnie żeberka na talerz.

- Kolacja gotowa - oznajmiła.

Craig zauważył na brzegu swojej puszki pojedyncze włoski kociej sierści. Zdjął je dyskretnie i ostrożnie pociągnął niewielki łyk piwa. Gabrielle pochwyliła z podłogi kota i posadziła sobie na kolanach. Jedząc, obdzielała kęsami z talerza jego i pozostałą czwórkę.

- Niezłe te żeberka, prawda? - Wcisnęła kawałek mięsa w pysk chow-chow. - Prawie nie czuć spalenizny.

Craig miał już dość. Odsunął krzesło od stołu i wstał.

- Przykro mi, że muszę iść, ale rano pracuję.

- Szkoda. Myślałam, że jeszcze w coś pogramy. Niedoczekanie, pomyślał Craig.

Gabrielle odprowadziła go do drzwi.

- Pozdrów moją przyjaciółkę.

- Z pewnością nie omieszkam.

Po przyjeździe do domu Craig natychmiast wziął prysznic, po czym zatelefonował do Temple.

- Sądziłem, że zawarliśmy pewną umowę - zaczął prosto z mostu.

Leżał wyciągnięty na kanapie i patrzył w sufit.

- Dlaczego tak wcześnie wróciłeś? - spytała Temple. - Dopiero dziewiąta.

- Wytrzymałem tam tak długo, jak tylko mogłem. Czy wiesz, że twoja Gabrielle prowadzi w domu zwierzyniec?

Na samo wspomnienie niedawno opuszczonego mieszkania dostał skurczów żołądka.

- Zwierzyniec? Podobno ma kota...

- Pięc.

- Naprawdę? - zdziwiła się Temple.

- Tak. Poza tym chow-chow i rottweilera. Potężne bydlę - uściślił. - Przez cały czas obserwował mnie uważnie zimnym spojrzeniem. Chow-chow za to zapalał do mnie gwałtownym uczuciem, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Sądziłam, że Gabrielle mieszka w bloku - powiedziała Temple.

- Nigdy u niej nie byłeś?

- Nie. Widujemy się okazjonalnie. Mamy różne rozkłady lotów. Nie spodobała ci się?

- Nie... pasujemy do siebie - odparł krótko Craig.

- Szkoda. Sądziłam, że będzie inaczej. Gabrielle jest taka zabawna.

Ty jesteś raczej poważny. Tworzylibyście ładny kontrast.

- Mieszkanie tej kobiety przypomina śmietnik. Kocie kuwety śmierdzą tak, że nos zatyka. Wszystkie zwierzęta śpią w jej sypialni...

- Och, Craig...

- Psy są olbrzymie - mówił coraz gwałtowniej Craig. - I agresywne. Chow-chow próbował nawet mnie oznakować!

- Co chciał zrobić? - Temple zaśmiała się serdecznie.

- Oznakować. - W głosie Craiga nie było śladu rozbawienia.

- Przykro mi, naprawdę nie wiedziałam. Gabrielle jest taka beztroska...

- Jeszcze trochę, a doprowadzi ją to do zguby. Psy i koty wejdą jej na głowę. Już teraz śpią z nią w jednym łóżku i jedzą z jej talerza. Mieszkanie do końca zarośnie brudem. W dodatku Gabrielle wkłada kartonowe pudełka do rozgrzanego piecyka. Kiedyś spali cały dom. I taka kobieta czuwa nad bezpieczeństwem pasażerów?

- Gabrielle jest wspaniałą stewardesą - broniła koleżanki Temple. - Ma żelazne nerwy.

Craig kichnął.

- Przeziębilesz się?

- Nie! Próbuję wydmuchać z nosa kłębek sierści.

- Przykro mi - powtórzyła ze śmiechem Temple. - Następnym razem...

- Dobranoc, kochanie.

Craig odłożył słuchawkę. Następnym razem? Niedoczekanie twoje!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W poniedziałek rano startowały mniej więcej w tym samym czasie dwa samoloty i dworzec lotniczy zapełniały tłumy stałych pasażerów oraz urlopowiczów. Ci pierwsi, podróżujący służbowo, próbowali się rozbudzić, czytając poranne gazety. Drudzy, podnieceni perspektywą wakacji, wymieniali między sobą gorączkowe uwagi.

Niespodziewanie w holu zapadła cisza. Temple odwróciła się, by zobaczyć, co ją spowodowało. Ujrzała mężczyznę w mundurze pilota i ciemnych okularach, który przeciskał się przez tłum, trzymając na smyczy psa-przewodnika.

- Proszę zrobić przejście! Proszę zrobić przejście - powtarzał.

Temple na chwilę zamarła.

- Scotty, ty idioto! - zawołała, kiedy rozpoznała znajomą postać. - Proszę państwa, ten człowiek tylko żartował - uspokajała oniemiałych podróżnych.

Scotty zsunął okulary na czubek głowy i uśmiechając się szeroko, ruszył z Temple w zaimprovizowane tany.

- Czyj to pies? - spytała ostro.

- Jednego z pasażerów. Powiedziałem, że wezmę go na spacer. Wolf, do nogi!

Nadszedł Craig i całe przedstawienie się skończyło. Scotty oddał psa właścicielowi. Trzyosobowa załoga ruszyła w stronę oczekującego ich samolotu.

- Pragniesz zasilić szeregi bezrobotnych? - spytał Scotta Craig.

Dowcipniś zachichotał.

- Pasażerowie muszą mieć od czasu do czasu trochę rozrywki - wyjaśnił.

- Za chwilę mają wejść na pokład. Perspektywa lotu z niewidomym pilotem rzeczywiście wprawi ich w doskonały humor - parsknął Craig.

- Szef kazał zabawiać podróżnych - upierał się Scotty.

- Ciekawe, ilu pasażerów odda teraz bilety - wtrąciła Temple, patrząc przez ramię w stronę kas.

Piloci i stewardesa pokonali kilka stopni i znaleźli się wewnątrz turbośmigłowca. Craig i Scotty zajęli miejsca w kabinie pilotów, natomiast Temple udała się do kuchenki i włączyła ekspres. Nim po raz drugi sprawdziła, że w poczęstunku dla pasażerów niczego nie brakuje, kawa zdążyła się zaparzyć. Zaniósła kolegom dwie filiżanki. Obaj przeprowadzali rutynową kontrolę urządzeń i przyrządów pokładowych przed startem.

- Dostałaś mój prezent? - spytał Craig.

- Jaki prezent? - zdziwiła się Temple.

Craig cisnął w jej stronę torebkę orzeszków. Temple natychmiast pojęła złośliwe intencje kolegi.

- Rozumiem, że ciągle nie możesz zapomnieć o Gabrielle? Naprawdę mi przykro. Następnym razem...

- Koniec zabawy - uciał Craig. - Odtąd każde z nas samo się troszczy o swoje życie osobiste.

Pół godziny później wszyscy pasażerowie siedzieli już na swoich miejscach. Temple uśmiechnęła się i powitała ich na pokładzie samolotu linii Sparrow, przekazując standardowe instrukcje, dotyczące zachowania bezpieczeństwa w razie nagłych wypadków. Kątem oka zauważyła parę

rudowłosych bliźniaków, którzy z upodobaniem dokuczali swoim sąsiadom. Matka chłopców zdradzała objawy kompletnego wyczerpania, mimo iż była dopiero ósma trzydzieści rano.

- ...Jeśli w kabinie nastąpi nagły spadek ciśnienia, przed państwem pojawią się maski tlenowe. Proszę nałożyć je najpierw sobie, potem dzieciom...

Bliźniaki odkryły włącznik światełka alarmowego i zaczęły przy nim majstrować.

- ...O ile macie na to ochotę - dodała, zerkając na upiornych malców.

Lot przebiegał jak zwykle. Temple chodziła z wózkiem między rzędami foteli, proponując pasażerom napoje i przekąski. Nieznośni chłopcy nie mogli się zdecydować, czego chcą się napić, bez przerwy biegali tam i z powrotem, przeszkadzając wszystkim dokoła. Ich biedna matka była ledwo żywa. Któryś z pasażerów okupował dwa fotele i dodatkowo zajmował pół przejścia, gromkim głosem wyjaśniając zasady dotyczące palenia papierosów na pokładzie. Grubasowi wydawało się przy tym, że jest co najmniej Casanovą i przy każdej sposobności znacząco trącał Temple kolanem w łydkę. Miała serdecznie dość jego zalotów.

- Jeśli nie przestanie, zrobię mu krzywdę - szepnęła w przelocie do kolegów.

- Zawsze się trafi ktoś taki - skomentował Scotty.

- Skoro potrafimy wysyłać ludzi na Księżyc, dlaczego nie osiedlić tam paru na stałe? - mruknęła Temple.

- Czy to nie zmieniłoby twoich planów? - zadumał się Craig, zajęty odczytywaniem wskaźników na monitorze.

- Być może po prostu kupię sobie kota - westchnęła Temple.

Po randce z Jonem nawet zakatarzony nosorożec wydawał jej się całkiem atrakcyjnym towarzyszem.

- Skoro mowa o kotach... - podjął Craig.

- Steph ma dla ciebie partnerkę - litościwie zmienił temat Scotty.

- Słuchajcie, czy ze mną jest coś nie w porządku? - Craig uniósł ręce w geście rozpaczy. - Mam na czole wypisane: głupek? Idiota? Świr? Masochista?

Dzwonek dobiegający z kabiny pasażerskiej przerwał rozmowę.

- Dziesięć do jednego, że to Casanova.

- Obstawiam bliźniaki - powiedziała Temple.

Poszła zobaczyć, co się dzieje. Scotty w tym czasie próbował umówić Craiga na randkę z jedną z koleżanek swojej żony.

W trakcie lotu Temple musiała jeszcze co najmniej ze trzy razy poskramiać nieznośnych rudzielców, pomogła też jakiejś młodej matce zmienić zabrudzoną pieluszkę jej dziecka. Tego nie było w zakresie moich obowiązków, pomyślała. Nim wylądowali w Dallas, była już całkiem wykończona.

Craig dogonił ją przy wyjściu z hali przylotów. Jakim cudem po całym dniu pracy wygląda tak samo świeżo jak rankiem? pomyślała, zerkając na niego. Czowała nawet zapach płynu po goleniu, którego używał. Temple podarowała mu na Gwiazdkę ogromną butlę old spice'a. Przez sekundę zastanowiła się, czy ma na sobie bokserki w tygrysi wzór, które również dostał od niej w prezencie.

- Wpadniemy na szybkiego drinka? - spytał.

- Przykro mi, ale mam spotkanie - odparła. - Poza tym muszę zadzwonić do Thii. Telefonowała do mnie już dwa razy w tym tygodniu, a ja się nie odezwałam. Pomyśli, że wyjechałam z miasta.

- Naprawdę szybkiego - kusił Craig. - Do Thii możesz zadzwonić kiedy indziej.

Do licha, wiedział, kiedy jej to zaproponować. Godzina z Craigiem Stevenssem będzie rekompensatą za czas stracony na randkę z facetem, z którym umówiła ją Ginny.

- Zgoda, ale rzeczywiście będzie to mały drink.

Poszli do jednego z barków na lotnisku, gdzie wybrali stolik w głębi sali. Kelner przyjął zamówienie i zniknął jak cień. Craig wyciągnął się wygodnie i rozluźnił węzeł krawata.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył.

- Piękną, choć zmęczoną - poprawiła Temple. - Dlaczego mężczyźni nie potrafią powiedzieć najpierw czegoś miłego, zanim oznajmią ci to, co sama wiesz?

Craig popatrzył na nią tak uważnie, że natychmiast pożałowała, iż w ogóle otworzyła usta.

- Zgoda, piękną, choć zmęczoną. Co się dzieje?

Temple zdjęła marynarkę służbowego kostiumu i zaczęła masować sobie skronie. Poczowała ulgę.

- Chyba coś się we mnie wypaliło.

- Ten Casanova tak cię załatwił?

- On, a także bliźniaki i ta matka z rozkapryszonym niemowlęciem. Sama nie wiem. Może i dobrze, że nie mam własnych dzieci.

- Najpierw małżeństwo, potem dzieciaki, prawda?

- Tak mówią. - Temple zaczęła się bawić stojącym pośrodku stołu świecznikiem.

- Moim zdaniem byłabyś wspaniałą matką. - Craig pochylił się nad stołem i ujął w ręce dłonie Temple. Serce zaczęło jej bić jak szalone.

- Skąd wiesz? - Uśmiechnęła się słabo.

- Intuicja mi podpowiada.

- Sądziłam, że to kobieca specjalność.

Craig wzruszył ramionami, po czym delikatnie położył dłonie Temple z powrotem na blacie stołu.

- Wszystko zależy od tego, jak dobrze ludzie znają się nawzajem.

Temple sięgnęła po szklanekę z wodą. Pomyślała o wzięciu aspiryny. Ze zmęczenia bolały ją wszystkie mięśnie.

- Skoro rozmawiamy o małżeństwie... - zaczął Craig.

- Naprawdę? - Temple uniosła głowę.

- Dostałem zaproszenie na ślub Judi i Ricka.

- Żartujesz? Od kiedy są razem? Chyba od sześciu lat?

- Coś koło tego.

- Każde z nich już z tuzin razy zrywało ten związek. Dlaczego nagle doszli do wniosku, że małżeństwo może coś zmienić?

- Wieść gminna niesie, że są zakochani - szepnął Craig, przysuwając się bliżej do Temple.

- Szaleńcy.

- Dziwny komentarz w ustach kogoś, kto nieustannie próbuje znaleźć właściwego mężczyznę.

- Robię to dla babci - wypaliła Temple, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Dla babci? - zdziwił się Craig.

- Martwi się o moją przyszłość - przyznała niechętnie Temple - i dlatego uważam za swój obowiązek wyjść za mąż, założyć rodzinę, zapuścić gdzieś korzenie. Babcia wciąż mi przypomina, że jest już stara, że

nikt nie żyje wiecznie... Martwi się, że kiedyś zostanie sama... - Temple przerwała i westchnęła ciężko.

Jednocześnie poczuła ulgę. Nie zamierzała co prawda zwierzać się Craigowi, ale skoro już się dowiedział, o co chodzi, przestanie się przynajmniej dziwić, dlaczego ostatnio tak często umawiała się na randki.

- Czyli robisz to wszystko, by zadowolić swoją babcię? - upewnił się.

Przy stoliku pojawił się kelner z zamówionymi przez nich drinkami. Temple wyjęła ze szklanki słomkę i pociągnęła spory łyk napoju. Ona i Craig byli bliskimi przyjaciółmi i mówili sobie niemal wszystko. Mimo to pozostawały między nimi pewne niedomówienia.

- Jasne, że nie tylko dla babci. - Obracała w dłoniach szklankę. Czasami nadmierna bliskość bywa przeszkodą. - Mam trzydzieści jeden lat. Czas ucieka. Lubię moją pracę, moje mieszkanie, ale... no cóż, pragnę nacieszyć się dziećmi, nim się zestarzeję.

- Zegar biologiczny tyka?

- Nie - zaprzeczyła Temple, pragnąc nieco rozluźnić atmosferę.

- Nie chodzi o mój zegar, lecz dokładnie o to, że czuję się teraz trochę wyczerpana.

Craig uśmiechnął się ciepło i Temple poczuła miłe odprężenie. Rozmowy o małżeństwie zawsze ją stresowały, podobnie jak jej przyjaciela. Być może wcale jeszcze nie była skłonna się ustatkować.

- Któryż więc mężczyzna został twoim wybranym na dzisiejszy wieczór? - spytał Craig.

- Och, jakiś znajomy chłopaka Ginny.

- Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie. Czyżbyś wątpiła w gust Mike'a?

- Po ostatnich wpadkach wątpię we własny. Chyba wcale nie znam się na mężczyznach.

- Ani na kobietach - dodał Craig, sącząc drinka.

- Naprawdę mi przykro z powodu Gabrielle. W szkole wydawała się całkiem normalna. Zabawna, czasem trochę zwariowana, ale na pewno nie ekscentryczna.

- Kopnięta - poprawił Craig.

- Ekscentryczna - upierała się Temple.

- Niech ci będzie - przyznał dla świętego spokoju Craig. Oboje tręcili się szklankami na zgodę.

Craig obrzucił Temple przeciągłym spojrzeniem.

- Skoro już mowa o randkach, znam kogoś, z kim chciałbym cię poznać.

- Sama nie wiem - ociągała się Temple.

Po historii z Gabrielle podejrzewała, że Craig w stosownym momencie zechce jej się zrewanżować.

- Przecież zawarliśmy porozumienie - zaprotestował Craig. - Ty umawiasz mnie ze swoimi przyjaciółkami, a ja ciebie z moimi kumplami.

- No dobrze - skapitulowała Temple. - Kto to taki?

- Dwight Mason.

- Czy kiedykolwiek go spotkałam?

- Nie, ale z pewnością przypadnie ci do gustu. - Craig odstawił na stolik pustą szklankę.

- Co on robi?

- Pieniądze. Duże pieniądze. Jest handlowcem.

- Handlowcem? Ale...

- Żadnego ale. Zadzwońię do niego i umówię was na spotkanie.
Może być początek przyszłego tygodnia?

Trudno. Słowo się rzekło. Temple nie miała innego wyjścia, jak przyjąć propozycję Craiga. Szczerze żałowała teraz, że kiedykolwiek wpadła na pomysł tej głupiej umowy między nimi. Dokończyła drinka i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- W następnym tygodniu mam wolne wszystkie wieczory z wyjątkiem wtorkowego.

- Doskonale. Zadzwońię do Dwighta.

Razem wyszli z barku i udali się na parking. Temple ledwo wcisnęła się do swojego samochodu. Dzisiejszego ranka Craig wygrał wyścig o miejsce do parkowania.

- Aha, na spotkanie z Dwightem nie wkładaj tej czerwonej sukienki - rzucił mimochodem.

- Której sukienki?

- Tej, która przylega do twojego ciała jak druga skóra.

Dziwne. Czyżby Craigowi się nie podobała? Temple zapłaciła za nią ćwierć pensji i włożyła ją w ubiegłym roku na doroczne spotkanie pracowników linii lotniczych, które odbyło się z okazji Bożego Narodzenia. Craig prosił ją niemal do każdego tańca. Spędzili razem cudowny wieczór.

- Dlaczego mam jej nie wkładać?

- Dwight nie znosi czerwonego koloru - odparł sucho Craig. - Baw się dobrze.

Popatrzyli na siebie przez szyby samochodów. Nikt na świecie nie ma takich niebieskich oczu, pomyślała Temple.

- Jesteś pewien, że ta randka z Dwightem nie ma być twoim rewanżem? - zapytała jeszcze Temple.

- Popadasz w paranoję, Burney.

- Mam chyba powody, prawda?

- Podejrzewasz, że byłbym zdolny zrobić ci coś takiego? - Craig uśmiechnął się przewrotnie.

- Nawet by ci powieka nie drgnęła. - Temple roześmiała się.

Samopoczucie wyraźnie jej się poprawiło. Postanowiła, że jeśli spotkanie z Dwightem okaże się niewypałem, postara się dla Craiga o następną Gabrielle. Tym razem celowo.

Po powrocie do domu wzięła gorący prysznic i zaczęła pisać cotygodniowe sprawozdanie do babci.

„Czy wspominałam ci kiedykolwiek o moim najlepszym przyjacielu, Craigu Stevensie...”

Przypomniała sobie, jak Craig dotknął niechcący jej ramienia, a ją przeszył dreszcz.

Jest przystojny, elegancki, dowcipny. To jeden z najlepszych pilotów, zatrudnionych w Sparrow. Helen i Frank powinni być z niego dumni. Powtórz im to, kiedy się spotkacie w niedzielę w kościele.

Mimo to nie możemy umawiać się na randki. Szkoda narażać taką wspaniałą przyjaźń. Poza tym Craig jest pilotem. To mówi samo za siebie”.

Temple przerwała pisanie i zamyśliła się. Tak, utrata Craiga byłaby czymś niezwykle bolesnym. Zbyt bolesnym, by cokolwiek ryzykować. Musi również pamiętać o tym, że Nancy ciągle na nim zależy. Przyjaciółka ma nadzieję, że wrócą do siebie, więc i tak Temple pozostaje jedynie przyjaźń. Jakikolwiek romans zbyt skomplikowałby całą sytuację. Nagle

w pełni zrozumiała, jak poczuła się jej przyjaciółka, kiedy Craig z nią zerwał. Ona sama z trudem by zniosła coś takiego. Otrząsnęła się i dokończyła list.

„Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Przyjadę do domu na Boże Narodzenie. Szykuj choinkę i nadziewaną gęś.

Całuję

Tootie

P.S. Pewnie ucieszy cię wiadomość, że regularnie umawiam się na randki. Na razie bez większego sukcesu, ale bardzo się staram”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Temple przerzuciła stosy ubrań, nim w końcu zdecydowała się włożyć dwuczęściowy kostium w kolorze turkusowym. Po kilku ostatnich randkach, które ciężko potem odchorowała, miała już kompletnie dość. Wierzyła jednak, że zła passa nie może trwać wiecznie. Nawet ślepej kurze czasem trafi się ziarno, więc czemu jej nie miałyby się w końcu trafić odpowiedni mężczyzna? Zgodnie z zasadą prawdopodobieństwa, dzisiejszy wieczór powinien być udany. Jednak mimo tej perspektywy miotła się między pokusą, by zadzwonić do Billa Moffita i pod jakimś pretekstem odwołać spotkanie, a nadzieją, że on sam to zrobi.

Żadne z nich nie chwyciło za telefon.

Temple przeglądała się właśnie w antycznym lustrze wiszącym w przedpokoju i zastanawiała, czy nie zmienić uczesania, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Niech to diabli - szepnęła i próbując się uśmiechać, poszła je otworzyć. Uśmiech zamarł jej na wargach, kiedy stanęła oko w oko z mężczyzną niemal dokładnie jej wzrostu.

Nic nie szkodzi, pomyślała. Nie musi być wysoki. Tylko ludzie małego formatu przywiązują wagę do czyjejs postury.

Mężczyzna ubrany był w ciemny, trzyczęściowy garnitur, białą koszulę i wełniany krawat w barwny deseń. Do krawata miał wpiętą diamentową spinkę. Temple nieco się odprężyła. Przynajmniej nie nosił słomkowego kapelusza, ozdobionego sztucznym ananasm.

- Bill? - upewniła się,

- Temple, prawda? - Mężczyzna wyciągnął dłoń na powitanie.

- Bill Moffit - przedstawił się normalnym tonem. Nie wrzeszczał ani nie mamrotał.

- Witaj, Bill. Masz ochotę na drinka przed wyjściem?

- Nie, dziękuję. - Zerknął na ręczny zegarek, który w tej samej chwili wydzwonił godzinę. - Zamówiłem stolik u „Antonia”.

Ho, ho, całkiem nieźle. Może do pięciogwiazdkowej restauracji powinnam była ubrać się bardziej elegancko, pomyślała Temple.

Przed domem stał samochód Billa, stary model czarnego bmw ze skórzanymi siedzeniami. W środku unosił się zapach zleżałych papierów.

- Jaką muzykę lubisz? - spytał Bill. - Mam ogromny wybór kaset.

- Może coś country? - zaproponowała Temple.

- No wiesz! - Bill popatrzył na nią, jakby postradała rozum.

- Sądziłem, że poprosisz o arie operowe, motywy z filmów czy Barbrę Streisand.

- Niech będzie Streisand.

Podczas jazdy Bill trzymał jedną rękę na kierownicy, drugą oparł niedbale na siedzeniu pasażera. Nucił pod nosem dobiegającą z głośników melodię.

No i dobrze, pomyślała Temple. Przecież nie ma potrzeby rozmawiać o niczym.

„Antonio” był drogą restauracją, specjalizującą się w prawdziwej włoskiej kuchni. W holu unosił się smakowity aromat czosnku i duszonych pomidorów.

- Zamówiłem stolik na nazwisko „Moffit” - zwrócił się Bill do obsługi.

- Za chwilę będzie gotowy, proszę pana - oznajmił kierownik sali.

- To znaczy, poczekamy co najmniej dziesięć minut. - Bill uśmiechnął się znacząco do Temple.

- Nic nie szkodzi. Przecież mamy czas.

Zapatrzyła się w nastolatkę, wkładającą ciasto do maszyny, z której po chwili wypadały gotowe kluski. Nie wiadomo dlaczego skojarzyły się Temple z jej własnym życiem uczuciowym. Było tak samo bezcielesne, bezbarwne i pozbawione smaku jak czysty makaron.

W holu panował zbyt duży tłok, by można było spokojnie porozmawiać. Intensywny zapach czosnku i sosu pomidorowego stał się nie do zniesienia. Na dodatek Bill zaczął niecierpliwie pobrzękiwać monetami, które trzymał w kieszeni marynarki. Temple poczuła narastający ból głowy. Pożałowała, że nie zaufała instynktowi i nie odwołała randki. Wiedziała jednak, że Ginny nigdy by jej tego nie wybaczyła.

- Stolik dla dwóch osób na nazwisko „Moffit”? - Przed oczekującymi niespodziewanie pojawiła się młoda hostessa.

- Zgadza się. - Bill mocno chwycił Temple za łokieć i poprowadził za hostessą w głąb sali.

Ciemny kącik wyglądał bardzo romantycznie. Na stole paliły się świece, z głośników dobiegały dyskretne dźwięki dobrej muzyki. Temple rozluźniła się na moment.

Podszedł kelner w czarnym smokingu z pytaniem, jakie drinki podać na początek.

- Żadnych - odparł szybko Bill, po czym spojrzał na Temple, jakby nagle przypomniał sobie o jej istnieniu. - Zgoda?

- Jasne.

Kelner uśmiechnął się uprzejmie.

- Wobec tego pozwolę sobie przedstawić państwu specjalności dzisiejszego wieczoru.

- Strzelaj pan - rzucił Bill.

- Dziękuję - powiedział, kiedy kelner skończył recytować listę dań. - Teraz musimy się chwilę zastanowić.

- Co podać do picia?

- Mrożona herbata półtora dolara - nauczał Bill. Zmarszczył czoło, przebiegając wzrokiem kolejne pozycje w karcie.

- Słucham pana? - spytał kelner.

- Mrożona herbata dla mnie - oświadczył stanowczo Bill.

- Bardzo proszę. A dla pani? Temple postanowiła się nie wychylać.

- Poproszę o herbatę z cytryną.

Kelner podziękował i odszedł. Bill ciągle przeglądał menu. W pewnej chwili aż gwizdnął głośno.

- Odkąd byłem tu ostatnio, strasznie wywindowali ceny - oznajmił.
- Rzeczywiście są dość wysokie... - zaczęła Temple.
- Nie szkodzi - przerwał jej Bill. - Zamów to, na co masz ochotę.
- Manicotti* wygląda zachęcająco.
- Ja myślę! - Bill znowu gwizdnął. - Za prawie dwadzieścia dolarów! Temple szybko zmieniła zamówienie.
- Zawsze mogę wziąć lasagne.

Bill wpatrywał się w serwetkę i potrząsał głową. U jego boku zjawił się kelner, gotów przyjąć zamówienie.

- Czym mogę państwu służyć?
- Temple? - ponaglił Bill.

Przystawki wyraźnie są zbyt drogie na jego kieszeń, pomyślała. Po co więc ciągnął mnie do pięciogwiazdkowej restauracji? Szybko zamknęła kartę.

- Poproszę o zupę fasolową i sałatkę. - Nic tańszego już nie mogłam wybrać, uznała.

- Doskonale. A dla pana?
- Wezmę... spaghetti. Bez sosu mięsnego.
- Jakąś sałatkę?
- Żadnych sałatek. Czy pieczywo jest wliczone do przystawek, czy trzeba płacić oddzielnie?

** Manicotti - włoskie danie, które składa się z nadziewanego serem pieroga, zapiekanego w sosie pomidorowym. (Przyp. tłum.)*

Kelner wyraźnie się zdziwił.

- Oczywiście jest wliczone.

- Przy tych cenach można się tego spodziewać. - Bill oddał obie karty dań. - Proszę o cały koszyczek.

Po krótkiej chwili wahania kelner obrócił się na pięcie i odszedł ze zboloną miną.

Bill oparł łokcie na stole i uniósł w górę szklanę z herbatą, sprawdzając, czy nie ma na niej zacieków.

- Opowiedz mi o sobie - zwrócił się do Temple.

- Jestem stewardesą. Pracuję dla linii Sparrow.

- Od jak dawna latasz?

- Od dziesięciu lat. W tym pięć dla Sparrow.

- Myślałaś kiedyś o innym zajęciu? No wiesz, kiedy skończysz latać. Będziesz mogła pracować na przykład jako hostessa, nim przejdziesz na emeryturę?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - przyznała Temple. - Linie lotnicze nie stosują teraz takich obostrzeń dotyczących wieku jak niegdyś, więc sądzę, że będę mogła latać tak długo, jak zechcę.

- Ile masz lat? - spytał Bill z diabelskim błyskiem w oku. Temple popatrzyła na niego zaskoczona. Co za gbur!

- Oczywiście żartowałem - wycofał się. - Wiedziałem przecież, że nie przyznasz się do swego wieku. A ile ważysz?

W czasie kolacji Bill gadał niemal bez przerwy. Temple jadła i słuchała jednym uchem, zastanawiając się, co powstrzymuje ją przed tym, by wstać i natychmiast odejść od stolika. Chyba tylko dobre wychowanie, westchnęła w duchu. Poza tym szkoda marnować smaczne jedzenie.

- Wkrótce założysz rodzinę - perorował Bill. - Statystyki mówią, że kobiety wychodzą za mąż, nim skończą dwadzieścia trzy lata. O dwa lat później niż dekadę temu. Mężczyźni żenią się teraz około dwudziestego

piątego roku życia. Wcześniej robili to w wieku dwudziestu trzech lat. Kobiety pracują mniej więcej do trzydziestki, kiedy to decydują się na urodzenie dziecka. Jednakże warunki ekonomiczne zmuszają wiele z nich do kontynuowania pracy zawodowej, mimo iż lepiej byłoby, gdyby z niej zrezygnowały. Łączenie pracy z prowadzeniem domu, zwłaszcza gdy są już dzieci, jest bardzo stresujące - przekonywał.

W głowie Temple odezwał się alarmowy dzwonek.

- Czyżby mężczyźni nie pomagali w wychowywaniu potomstwa? - spytała

- Nie w początkowym okresie ich życia. Kobiety są lepszymi niańkami - oświadczył kategorycznym tonem Bill. - Co prawda statystyki mówią, że mężczyźni przejmują coraz więcej obowiązków związanych z wychowaniem niemowląt, ale moim zdaniem zafałszowują je ci panowie, którzy ochoczo korzystają z możliwości wzięcia urlopów wychowawczych. Przecież musisz przyznać, że wy, kobiety, lepiej się znacie na dzieciach. Planujesz mieć własne?

- Jeszcze nie teraz.

Jak powiedział Craig, najpierw małżeństwo, a ta perspektywa wydawała jej się coraz bardziej mglista.

- Nie powinnaś zbyt długo czekać. Przekroczyłaś już trzydziestkę.

Temple postanowiła zmienić temat.

- Słyszałam, że jesteś dyplomowanym księgowym?

- Zgadza się. Pracuję dla znanej spółki. W ciągu pięciu lat zamierzam zostać jej współwłaścicielem.

- Masz jakąś specjalizację?

- Podatki od dochodów i zysków kapitałowych. Choć tak naprawdę interesuje mnie statystyka. Teraz zajmuję się bardzo skomplikowaną sprawą. Pewna firma utylizująca odpady przemysłowe...

Temple nieuważnie wsłuchiwała się w potok słów, płynących z ust Billa. Wyobraziła go sobie nagiego, w otoczeniu ksiąg przychodów i rozchodów, i ta wizja wywołała w niej dreszcze.

Bill kontynuował wyjaśnianie skomplikowanych systemów księgowania. Matematyka nigdy nie była mocną stroną Temple, o czym świadczyło najlepiej to, że nie umiała sobie poradzić z bilansowaniem własnej książeczki czekowej. Craig cierpliwie próbował jej wyjaśniać całą procedurę i powtarzał, że to bardzo proste. Według słów Billa, praca nad księgami zajmowała niemal tyle samo czasu, ile potrzeba było na odkrycie bomby atomowej. Trzykrotnie jednak podkreślał, że nie ma większej satysfakcji niż w chwili, kiedy wszystkie kolumny cyfr uda się w końcu zbilansować.

- Chciałbym zaproponować państwu jeden z naszych znakomitych deserów. - Kelner podszedł do stolika z tacą, na której stały smakowicie wyglądające atrapy słodczy. - Może lody albo lekkie ciasteczka...

- Ja dziękuję - powiedział szybko Bill. Obliczał coś na serwetce. - A ty?

Temple spojrzała tęsknym wzrokiem na spumoni, ale wiedziała, że nie ośmieli się niczego zamówić. Bill właśnie podsumował rachunek za ich kolację i zmarszczył czoło.

- Również dziękuję. Choć nie, poproszę jednak o kawę.

- Mamy wspaniałą cafe latte, choć może woli pani cappuccino?

- Poproszę o latte.

Do diabła z Billem, pomyślała. W końcu sam wybrał tę restaurację. Powinien był najpierw sprawdzić, jakie tu są ceny.

- A co dla pana?
- Zwykła kawa.
- Ze śmietanką? Jest wliczona w cenę.
- Nie, czarna.

Uwaga kelnera spłynęła po Billu jak woda po gęsi. Temple z trudem stłumiła śmiech.

Latte była wyśmienita. Temple sączyła ją powoli, tymczasem Bill ciągnął rozważania o typowych pomyłkach podatkowych, porównywał kłopoty firm z kłopotami indywidualnych podatników.

Nie rozumiała z tego ani słowa. Czowała, że głowa jej puchnie jak bania

Kelner dyskretnie położył na stole rachunek. Bill natychmiast wziął go do ręki.

- Czterdzieści jeden dolarów i osiemdziesiąt centów? Jak to możliwe?

Gorączkowo zaczął podliczać kolumny cyfr.

- Moje danie kosztowało osiemnaście osiemdziesiąt pięć, twoje... dziesięć pięćdziesiąt. Zatem latte musiała kosztować więcej niż...

- Dwa siedemdziesiąt pięć. Słuchaj, jeśli to kłopot, mam przy sobie...

- To jakiś księżycowy rachunek. Kelner! - wrzasnął na całą salę.

Głowy gości zajmujących sąsiednie stoliki zwróciły się w ich stronę. Temple natychmiast przypomniał się Darrell.

- Czym mogę służyć, proszę pana?

- Proszę mi powiedzieć, za co mam płacić czterdzieści jeden dolarów? I to bez napiwku i VAT-u? Kto tu ustala takie ceny?

- Zawołam szefa...

- Bill... - odezwała się cicho Temple. - Mogę zapłacić...

- Zobacz, co oni wyprawiają! Tu dodadzą parę dolarów, tam parę dolarów. Na wypadek, gdyby ktoś nie chciał dać napiwku. Wiesz, jak to jest.

Temple poczerwieniała na twarzy jak burak. Coraz więcej ludzi patrzyło na nich, szepcząc coś między sobą.

- Czy mogę w czymś pomóc? - Przy stoliku pojawił się szef sali.

- Macie za wysokie ceny! - krzyknął Bill. Jeszcze raz podliczył kolumny na serwetce i wyszła mu ta sama kwota, co na rachunku. - Uprawiacie rozbój na prostej drodze, ale rachunek rzeczywiście jest w porządku. Może mi pan przynieść pojemnik na resztki? - zwrócił się do kelnera. - Z zasady niczego nie lubię marnować - oświadczył, uroczyście wręczając mężczyźnie złotą kartę kredytową.

- Od jak dawna znasz Mike'a i Ginny? - spytała Temple.

Nie mogła pojąć, jak jej przyjaciele zdołali dogadać się z Billem, zwłaszcza Ginny, która nie miała za grosz zmysłu oszczędności.

- To znajomość czysto zawodowa - odparł Bill. - Kilka lat temu rozliczałem im podatki. Wydają się bardzo sympatyczni. Przysłali mi paru klientów. Cenię rozważnych ludzi. Gotowa do wyjścia? - spytał po chwili, kiedy kelner oddał mu już kartę kredytową i rachunek. Starannie włożył je do portfela, rozejrzał się po sąsiednich stolikach, a kiedy zobaczył, że goście zostawiają swoje rachunki na blatach, zabrał je i także schował wraz z własnym.

- Zawsze mogą się przydać - powiedział.

Bill zaparkował bmw przed wejściem do domu Temple.

- To był wspaniały wieczór - powiedział. - Czy mogę znowu do ciebie zadzwonić?

- Prawdę mówiąc, nigdy nie jestem pewna swego rozkładu zajęć... - wykręcała się Temple.

- Nie szkodzi. Zapytam Ginny.

Temple wysiadła z samochodu, zanim Bill zdążył dodać coś jeszcze, i zatrzasnęła za sobą drzwi. Pomachała krótko dłonią na pożegnanie i wbiegła na schody.

Kiedy weszła do mieszkania i włączyła lampę, przez chwilę stała bez ruchu, rozkoszując się spokojem, jaki dawało ciepłe światło, rozlewające się po przytulnym wnętrzu. Nie ma to jak własny dom, pomyślała. Ból głowy zaczął ustępować. Temple odetchnęła głęboko, by uspokoić skołatane nerwy, po czym cisnęła torebkę na kanapę, zrzuciła buty i boso poszła do kuchni nalać sobie szklankę mleka.

Potem usiadła przy oknie i opierając łokcie na komódce, wyjrzała na zewnątrz. U najbliższej mieszkającej sąsiadki było już ciemno. Zawsze chodziła spać z kurami. W miarę upływu czasu jedno po drugim gasły światła w pozostałych domach. Rodziny szykowały się do snu.

Temple z westchnieniem pomyślała o pięciu latach spędzonych w Dallas. Każdy mógł tu znaleźć miejsce dla siebie. Dlaczego ona ciągle była sama?

Powszechnie uważano, że stewardesy co krok spotykają bogatych i atrakcyjnych mężczyzn, którzy zapraszają je do eleganckich lokali na wytworne kolacje z szampanem.

Temple nigdy nie szukała romansów. Lubiła podróżować i dzięki pracy miała ku temu okazję, tak naprawdę marzyła jednak o tym, by wśród nowo poznawanych ludzi znaleźć mężczyznę, który by jej odpowiadał.

Kto mógłby nim być?

Na pewno nie Bill Moffit, Darrell, Jon czy paru innych, z którymi się ostatnio umawiała.

Jej mężczyzna nie musiał być ideałem. Nie śniła o księciu z bajki. Chciała jedynie poznać kogoś normalnego. Kogoś, z kim można by zwyczajnie porozmawiać. Kogoś wrażliwego, zainteresowanego czymś więcej niż własnym pępkiem.

Gdzie jest ten mężczyzna, który umiałby ją zaakceptować taką, jaka jest? Który zapewniłby jej poczucie bezpieczeństwa, dodał siły i pewności siebie? Który nie podliczałby na serwetce rachunku za kolację w pięciogwiazdkowej restauracji.

Jednym słowem, mężczyzna podobny do Craiga. Niech to diabli!

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Stevens pilotem! No, no, kto by pomyślał. Cóż cię pociąga w tym zawodzie? Piękne stewardesy, tak? - Jack Ladue puścił oko do Craiga - Co ja bym dał, bracie, żeby się znaleźć w twojej skórze!

Craig uśmiechnął się szeroko. Przyjaźnił się z Jackiem w college'u, ale od tamtej pory ich kontakt ograniczał się do wymiany okolicznościowych kart z okazji Bożego Narodzenia. Kiedy więc dawny przyjaciel zadzwonił z informacją, że jest w Dallas, postanowili się spotkać.

- O la la, kim jest ta ruda? - mruknął Jack na widok dziewczyny, która właśnie pojawiła się w drzwiach baru.

Craig podążył za jego spojrzeniem i zobaczył Temple. Dzisiejszego wieczoru towarzyszył jej wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Uśmiechała się do niego, a on obejmował ją ramieniem.

- Stewardesą. Pracuje dla Sparrow - odparł.

- Jak można nie kochać takich rudzielców - powiedział Jack z przeciągłym akcentem, który nabył podczas lat pracy dla kompanii naftowej w Oklahomie. - Nazwisko i numer telefonu poproszę.

- Przykro mi, stary, nie jest do wzięcia - Przynajmniej dla takich kozaków jak ty, dodał w myśli Craig.

- Macie romans?

- Tylko się przyjaźnimy.

- To o co chodzi? - zdziwił się Jack. - Wpadła mi w oko. Craig popatrywał ukosem, jak Temple i jej towarzysz zajmują miejsce przy stoliku.

- Przedstaw mnie - napierał Jack. - Jestem niezłą partią. Kawaler, z dobrą posadą.

Craig znacząco spojrział na zegarek i wstał.

- Musimy się już pożegnać, mam parę spraw do załatwienia na lotnisku.

Jacka wcale nie zraził zimny ton głosu kumpla. Wyciągnął rękę i serdecznie uściskał dłoń Craiga.

- Miło było znowu cię zobaczyć. - Odwrócił głowę w stronę stolika, przy którym siedziała Temple. - Chyba zostanę tu jeszcze chwilę i pogapię się na tę dziewczynę. Zadzwoń do ciebie, kiedy następnym razem wpadnę do miasta.

- Świetnie. - Craig również popatrzył na Temple i skrzywił się, widząc, jak towarzyszący jej mężczyzna przysunął się do niej bliżej i wybuchnął śmiechem, kiedy powiedziała coś zabawnego.

Świetnie dziś wygląda, pomyślał. Doskonale jej w tej nowej fryzurze. Kim jest ten gość? W pierwszej chwili zamierzał podejść pod jakimś służbowym pretekstem i przedstawić się, ale zrezygnował z tego pomysłu. Jeszcze raz zerknął na Temple i opuścił bar.

Po powrocie do domu snuł się przez cały wieczór po mieszkaniu w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia. Trzykrotnie podnosił słuchawkę telefonu. Dwukrotnie wykręcił nawet numer Temple. Chciał zostawić jakąś wiadomość na automatycznej sekretarce, ale nie potrafił wymyślić niczego mądrego.

Co się z nim dzieje? Przecież osobiście umawiał ją na randki ze swoimi znajomymi. Dlaczego dręczy go fakt, że spotkała się z kimś, kogo sama wybrała?

W sobotę rano Temple znowu pokonała Craiga w wyścigu o miejsce i brawurowo zablokowała dwa stanowiska. Craigowi dopiero po kilku próbach udało się zaparkować samochód. Wcisnął się jakimś cudem między półciężarówkę Temple i malutkiego forda. Z trudem wygramolił się przez drzwiczki i omal nie upadł na asfalt, kiedy próbował się wyprostować. Temple śmiała się otwarcie.

Zamierzała z nim porozmawiać. Dwight Mason okazał się całkiem sympatycznym człowiekiem. Stanowił całkowite przeciwieństwo mężczyzn, z którymi się ostatnio umawiała. Był uprzejmy, szarmancki, grzeczny i hojny, ale za to nudny jak flaki z olejem. Craig w sumie nie trafił lepiej niż pozostali z jej przyjaciół.

- Burney, ostrzegam, że pewnego dnia... - zaczął Craig

- Strachy na Lachy, mój drogi przyjacielu. Aha, Dwight był miły, ale nie przypadliśmy sobie do gustu.

- Naprawdę?

- Niestety. Przykro mi.

Craig wręczył Temple dużą kopertę.

- Masz swoje formularze podatkowe. Musiałem trochę podedukować, ponieważ nie dałaś rachunków. Poza tym nieźle wyglądasz.

Temple spojrzała na niego przeciągle i ze zdziwieniem uniosła brwi.

- Z podatkami, Burney. Z podatkami.

Czarne chmury wiszące nad głowami oznaczały, że w każdej chwili może spaść deszcz. Temple miała nadzieję, że samolotem nie będzie dziś zanadto rzucało. Do szczęścia potrzebowała bowiem tylko kompletu cierpiących na chorobę morską pasażerów.

- Z kim się spotkałaś wczoraj wieczorem? - spytał od niechcienia Craig.

- A więc to byłeś ty! - zawołała Temple. - Wydawało mi się, że rozpoznałam twoją sylwetkę, kiedy wychodziłeś z baru. - Poznałaby ją wśród tysiąca innych, ale tego oczywiście nie zamierzała mu mówić. - Dlaczego się nie przywitałeś?

- Byłaś bardzo zajęta.

- Nieszczęśliwie.

- Co to był za facet?

- Kirk Petersen.

- Chyba trochę za młody dla ciebie, nie sądzisz?

- Ma dwadzieścia dwa lata. Jeszcze nie jestem staruszką.

- Skąd go wytrzasnęłaś?

- Chodzimy razem na siłownię. Po ćwiczeniach wpadliśmy do baru na drinka. A co u ciebie? Zadzwoiłeś chociaż do Mirandy?

- Tak, ale to był błąd. Czemu tak się uparłeś na te blondynki? Czy sądzisz, że przepadam za kobietami, które potrafią tylko mówić „tak” lub „nie”?

- Wydawała mi się miła...

- Wiesz, wolę kobiety, które mają trochę oleju w głowie. Lubię czasem porozmawiać przy śniadaniu.

- No tak... - Popatrzyła na Craiga. - Jedliście razem śniadanie, prawda?

Znowu naszło ją to nieznośne uczucie, którego nie chciała nazwać zazdrością. Woląla jednak nie wyobrazać sobie Craiga z inną kobietą. Chyba oszalała. Przecież sama wpadła na pomysł z randkami.

Craig nagle stanął twarzą w twarz z Temple, zmuszając ją, by się zatrzymała.

- O co chodzi? - spytała.

- Nie mam zwyczaju chodzić do łóżka z każdą kobietą.

- Ja... - Poczula się jak idiotka. - Tak tylko powiedziałam. Przecież wiem, że nie sypiasz ze wszystkimi na prawo i lewo.

Craig potrząsnął głową.

- To prawda. Tyle że... Męczą mnie już te nieustające randki.

- Znam to uczucie.

Przez chwilę oboje stali w milczeniu, jakby coś jeszcze chcieli powiedzieć. Kiedy jednak żadne z nich nie podjęło tematu, Craig otworzył drzwi terminalu i przepuścił przodem Temple.

Przechodząc obok biura wynajmu samochodów, pomachał dłonią Flo na powitanie i udał się do poczekalni dla pilotów. Temple skierowała

swoje kroki w stronę barku. Ginny przyjmowała właśnie zamówienia od jakiejś starszej pary małżeńskiej, więc Temple sama naląła sobie do kubka kawy z ekspresu i czekała, aż jej przyjaciółka skończy obsługiwać klientów.

- Witaj. - Ginny wyjęła z szafki dwie słodkie bułeczki i włożyła je do mikrofalówki. - Co się dzieje?

- Nic specjalnego. - Temple obróciła się na stołku, by popatrzeć na plecy oddalającego się Craiga - Chyba mam lekką gorączkę.

- Czy ma to coś wspólnego z tamtym przystojniakiem? Widziałam, jak szliście razem.

- No i co z tego?

- Szkoda tylko się przyjaźnić z takim facetem. Czy kiedyś się zastanowiłaś, jak on wygląda?

- Nie muszę się zastanawiać.

W tym sęk. Nabrała zwyczaju porównywania wszystkich napotkanych mężczyzn do Craiga. Porównania wypadały zdecydowanie na ich niekorzyść.

Ginny roześmiała się głośno.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała Temple, wylewając resztki kawy do zlewu.

- Przyznaj, że on cię pociąga. I to nie jako kumpel.

- Kumple nie niszczą prawdziwej przyjaźni, umawiając się na randki.

Ginny opłukała kubki, zanim wstawiła je do zmywarki.

- Tracisz coś niepowtarzalnego - powiedziała. - On jest wspaniały.

Każda moja znajoma to przyznaje.

- Nawet ty?

- Zwłaszcza ja.

- Daj spokój.

Temple chwyciła swój bagaż. Rozmowa na temat Craiga rozdrażniła ją nieco. Pożegnała przyjaciółkę i poszła do samolotu.

W wejściu zderzyła się ze Scottym. Trzymał pod pachą jakiś opasły tom. Zauważyła, że siedzący w pobliżu pasażerowie zerkają na niego ze zdziwieniem

- Witaj, stewardeso Burney. Piękny poranek mamy, prawda?

Temple spojrzała na grzbiet obwoluty. „Jak pilotować saaby”, głosił tytuł.

Próbując zachować kamienną twarz, ruszyła w głąb samolotu. Scotty podążył za nią, z książką niedbale przyciśniętą do boku. Kilku pasażerów zachichotało nerwowo.

Temple zajęła się swoją pracą. Przygotowała poczęstunek i zaparzyła kawę.

Pół godziny później samolot był już wypełniony. Wszyscy zajęli miejsca i zapięli pasy. Scotty ponownie zrobił rundę między rzędami foteli z tą samą książką pod pachą.

- Kapitanie Stevens! - krzyknął, kiedy dotarł do kabiny pilotów. - Jakże się cieszę, że cię widzę. Pamiętasz, jak się prowadzi tę maszynę? Wczorajem zdążyłem dotrzeć zaledwie do rozdziału piątego.

Głośny śmiech upewnił Temple, że pasażerowie nie dali się nabrać na wygłup. Postanowiła jeszcze rozluźnić atmosferę

- Panie i panowie - zaczęła - przepraszamy za opóźnienie. Maszyna dewastująca zwykle wasze bagaże się zepsuła, więc załoga musiała niszczyć je własnoręcznie.

Chichoty wypełniły całą kabinę pasażerską. Temple powiedziała jeszcze kilka rutynowych zdań i zamierzała wrócić do kuchni, kiedy czyjaś dłoń chwyciła ją za ramię.

- Skarbie, przynieś mi pół kubka kawy ze śmietanką i cukrem.

- Dzień dobry, panie Carlson. Co za niespodzianka. Zwykle lata pan o innej porze. Jakieś spotkanie handlowe?

- Zjazd. W ten weekend Houston przeżywa istne oblężenie zjazdowców. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. - Z trudem zarezerwowałem miejsce w hotelu.

- Mam nadzieję, że miło spędzi pan czas...

- Byłoby milej, gdybyś dziś wieczorem wybrała się ze mną na bankiet.

- Panie Carlson...

- Wiem, wiem, żadnego spoufalania się z pasażerami. Ale mężczyzna zawsze będzie próbował.

Aż do znudzenia, pomyślała, ciągle się uśmiechając.

Lot tego dnia nie był zbyt przyjemny, gdyż zmieniający się front atmosferyczny przyniósł ze sobą gęstą mgłę. Samolot musiał się przez nią przebijać podczas ostatnich trzydziestu minut przed dotarciem do Houston. Za sterami siedział Scotty, który był doskonałym pilotem, ale nie aż takim mistrzem miękkiego lądowania jak Craig. Maszyna kilka razy podskoczyła na płycie lotniska, nim zatrzymała się na dobre.

W rosnącej mżawce trzyosobowa załoga samolotu ruszyła w stronę budynku terminalu. Scotty z niepokojem popatrzył w ciemniejące niebo.

- Założę się, że utkniemy tu na jakiś czas.

Temple podążyła za spojrzeniem kolegi. Pogoda rzeczywiście stale się pogarszała.

- Co mówi wieża?

- Zapowiadają gęstą mgłę - odparli jednocześnie Craig i Scotty.

Scotty ruszył naprzód, by dowiedzieć się o powrotny lot.

- Tak jak podejrzewaliśmy - oznajmił przyjaciołom, którzy zdążyli dotrzeć do barku dla personelu.

Temple zrzuciła buty i z podwiniętymi nogami usiadła na fotelu.

Craig z ulgą ściągnął krawat i wcisnął go do kieszeni Rozpiął kołnierzyk, marynarkę powiesił na oparciu fotela. W mundurze wyglądał doskonale, ale niedbały strój jeszcze bardziej dodawał mu uroku.

- To znaczy? - Temple przestała wpatrywać się w profil Craiga i zwróciła się do Scotty'ego.

- Houston jest zamknięte, dopóki mgła nie zelżeje. Według prognostyków stanie się to najwcześniej jutro około południa

- No cóż, siła wyższa. - Craig wstał i przeciągnął się leniwie. -
Chodźmy wynająć jakiś pokój.

- Jeśli w ogóle coś znajdziemy. Jeden z pasażerów powiedział, że w mieście odbywa się teraz wiele zjazdów. - Temple zebrała puste kubeczki po napojach i wrzuciła je do pojemnika na śmieci. Craig zaczął wydzwaniać do hoteli i pytać o wolne miejsca. Zewsząd odsyłano go z kwitkiem.

- Chyba przyjdzie nam spędzić noc w tym barze - oznajmił po kolejnej rozmowie.

- Mam tu kuzynów - powiedział Scotty. - Zaraz do nich zadzwonię i jeśli chcecie...

- Nie zwracaj nikomu głowy - przerwał mu Craig.

- Wobec tego do zobaczenia. - Scotty pomachał dłonią na pożegnanie i opuścił bar.

- No i co teraz? - spytała Temple.

Craig znowu zawisł na telefonie. W pewnej chwili zakrył dłonią słuchawkę.

- Mają jeden pokój - zwrócił się do Temple. - Hotel nie najciekawszy, ale lepsze to niż nocowanie na dworcu. Bierzesz?

- Tylko jeden?

- Nie marudź.

- Nie zmrużę oka, wiedząc, że męczysz się tu w fotelu.

- Musimy szybko podjąć decyzję. Poczekaj, rzucę monetę. - Craig sięgnął do kieszeni po bilon. - Orzeł czy reszka? - spytał.

- Orzeł.

Craig podrzucił monetę i chwycił ją zręcznie.

- Orzeł. Wygrałaś. - Uniósł słuchawkę i dokończył rozmowę z recepcją. Temple mogłaby przysiąc, że moneta wylądowała mu na dłoni reszką do góry.

- Zaczekaj - powiedziała. Craig uniósł brwi, zdziwiony.

- Możemy podzielić się tym pokojem. - Usłyszał w jej głosie wahanie. - Nie mogę pozwolić, byś męczył się nocą w tych warunkach.

- Jesteś pewna?

- Przecież ci ufam. - W końcu byli przyjaciółmi. W hotelu Craig może się przespać na kanapie.

Craig zawahał się przez chwilę, po czym poprosił recepcjonistkę, by zarezerwowała pokój na nazwisko Stevens. Podał numer swojej karty kredytowej i odłożył słuchawkę.

- W porządku. Mamy gdzie spać.

Temple chwyciła torebkę, Ogarnął ją dziwny niepokój.

- No to ruszajmy, zanim ktoś nas ubiegnie.

Mgła była gęsta jak mleko. Ponad pół godziny czekali, nim pod lotnisko podjechała jakaś taksówka. Poprosili o kurs do miasta.

- W czym będziemy spali? - zastanowiła się Temple.

- No właśnie, w czym? - Craig spojrział na nią przeciągle. Poczowała, że serce zaczyna jej walić jak oszałałe.

Wydawało im się, że jazda do hotelu trwała wieki. Kiedy tam w końcu dotarli, Craig poszedł do recepcji, a Temple do kiosku po jakiś kolorowy magazyn.

- Mamy 410 - powiedział Craig, naciskając guzik windy.

W milczeniu wjechali na czwarte piętro. Bliskość Craiga działała na Temple elektryzująco. Nie miało to nic wspólnego z siostrzano-braterskimi uczuciami.

Craig otworzył drzwi i włączył światło. Pokój był skromny, ale czysty. Temple z ulgą zauważyła, że są w nim dwa oddzielne łóżka. Podeszła do okna i rozsunęła zasłony,

- Ledwo widać ulicę - powiedziała. - Jakbyśmy tkwili w jakimś gęstym kokonie.

- Chyba zadzwonię do Neala - rzucił Craig.

- Do kogo?

- Do kumpla z wojska, który tu mieszka. Widujemy się co najmniej raz w miesiącu.

- Zadzwon, a ja trochę się odświeżę.

Craig sięgnął po słuchawkę, zaś Temple zamknęła się w łazience. Kiedy po jakimś czasie wyłoniła się stamtąd, Craig leżał na kanapie i oglądał jakąś mydlaną operę.

- Ale wybrałeś... - Skrzywiła się.

- Mają tylko trzy kanały. To nie Hilton.

Temple usiadła na swoim łóżku i rozejrzała się dokoła. Rzeczywiście, nie był to Hilton. Dwa podwójne łóżka, szafki nocne, długa toaletka, telewizor i proste krzesła.

- Jesteśmy zaproszeni na kolację - powiedział Craig.

- Przez kogo?

- Przez Neala i jego żonę.

Temple ułożyła głowę na poduszce i przymknęła oczy.

- Idź sam. Ja z chęcią zostanę w hotelu.

- Mają tylko trzy kanały - przypomniał Craig. - Będziesz się nudziła

- Zobacz, co nadają.

- Poczekaj... Wyprawa krzyżowa, akcja charytatywna... o, nareszcie coś ciekawego! Powtórka z boksu.

Temple wstała z łóżka i z rezygnacją włożyła buty.

- Nie miej takiej ponurej miny - powiedział Craig. - Neal jest wspaniałym facetem. Na pewno polubisz również Maryann.

- Któż to taki?

- Kobieta życia Neala.

- Aha, jedno z tych wspaniałych małżeństw.

Właśnie tego było jej potrzeba. Wieczór w przytulnym domu szczęśliwej pary po raz kolejny uzmysłowi jej, jak cudowne może być życie, jeśli ma się u boku odpowiedniego partnera. Partnera, którego ona nie mogła znaleźć.

Neal był tego samego wzrostu co Craig, ale w przeciwieństwie do niego miał blond włosy i ciemne oczy. Maryann była niewysoką brunetką. Na wstępie poinformowała Temple, że poznała swego przyszłego męża, kiedy miała szesnaście lat.

Obaj mężczyźni przywitali się serdecznie.

- Przykro mi, lotniku, że utknąłeś we mgle, ale dzięki temu mamy okazję się spotkać! - zawołał Neal. - Kim jest twoja pani? - spytał, patrząc na Temple.

- Stewardesą z tych samych linii. To moja przyjaciółka. Pozwólcie, że was sobie przedstawię. Temple Burney, Neal i Maryann - dokonał prezentacji Craig.

- Cieszę się, że przyszłaś. - Maryann zaciągnęła Temple do kuchni. - Przynajmniej będę miała z kim pogadać, kiedy oni znowu zatracą się w wojennych opowieściach.

Temple z miejsca polubiła Maryann. Naprawdę była sympatyczna. Nie minęło pięć minut, gdy szykowała sałatkę, podczas gdy pani domu wyławiała steki z marynaty.

Kuchnia urządzona była w uroczym wiejskim stylu. Temple podziwiała pasiaste zasłony, które wisiały w oknach, wychodzących na patio porośnięte kwitnącymi krzewami. Doskonały dom i doskonali ludzie, pomyślała z zazdrością.

Właśnie tego szukała. Musiała tylko znaleźć właściwego mężczyznę, a podobne życie stanie się również jej udziałem.

- Neal, mięso na grill jest gotowe! - zawołała Maryann. Obaj mężczyźni przeszli obok kuchni, mówiąc jednocześnie.

- Można by pomyśleć, że to bracia - stwierdziła czule Maryann. - Neal, mięso gotowe! - powtórzyła ostrzejszym tonem.

- Słyszałem - odparł.

W jego głosie brzmiało niezadowolenie, ale Maryann najwyraźniej wcale się tym nie przejęła.

- Nie wiem, o którego z nich bardziej się martwiłam, kiedy obaj przebywali w Zatoce Perskiej - przyznała. - Od jak dawna znasz Craiga?

- Od wczesnego dzieciństwa. Nawet jeździliśmy razem na letnie obozy. Straciliśmy kontakt ze sobą, kiedy Craig był w wojsku, pięć lat temu jednak spotkaliśmy się ponownie w pracy i od tamtej pory... To długa historia.

- Nigdy nie wspominał ci o mnie i o Nealu? Temple zastanowiła się przez chwilę.

- Nie, ani razu.

Wydawało się to dosyć dziwne. Nie rozmawiali nigdy o Nancy, a teraz okazało się, że również Neal i Maryann stanowili temat tabu. Zastanowiła się, co jeszcze Craig chował tylko dla siebie.

- Naprawdę? Neal, mięso na grill jest gotowe! - Maryann krzyknęła tak głośno, aż nabrzmiały jej żyły na szyi.

Neal stanął w progu wejścia do ogrodu. Spojrzał krzywo na żonę, chwycił talerz ze stekami i opuścił kuchnię, głośno trzaskając drzwiami.

- Craig opowiadał o tobie - ciągnęła Maryann, widocznie nieświadoma napięcia, jakie wywołało zachowanie się Neala.

Temple przerwała płukanie marchewki i wyrzała przez okno, Neal układał steki na grillu, Craig tymczasem wrzucał piłkę do kosza.

- Naprawdę?

- Tak. Co najmniej raz w miesiącu wpada do nas na kolację. Wiemy, że pomagacie sobie nawzajem w znalezieniu życiowego partnera.

Temple poczuła ucisk w żołądku.

- Mówił wam o tym?

- Sporo. Ostatnio wspominał o Gabrielle i historii z kotami. Nagle Maryann popatrzyła na Temple z desperacją w oczach.

- Nie rób tego.

- Czego?

Maryann przysunęła się bliżej niej i wyszeptała szybko:

- Posłuchaj mojej rady i pozostań wolna.

Temple zmieszala się. Znała Neala i Maryann zaledwie od godziny i pomimo pewnych napięć, jakie między nimi panowały, wydawali się mieć wszystko, co jest potrzebne do stworzenia idealnego małżeństwa.

- Ale... Ty i Neal wyglądacie na taką szczęśliwą parę...

- Pozory czasem mylą.

Drzwi od ogrodu otworzyły się i pojawił się w nich Neal.

- Gdzie jest długi widelec? - spytał.

- Tutaj, kochanie. - Maryann z wymuszonym uśmiechem wręczyła mu sztuciec.

Neal znowu trzasnął drzwiami, aż poruszyły się zasłony.

Maryann z podejrzanym zapalem zaczęła kroić seler. W pomieszczeniu zapanowała krępująca cisza. Temple nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała, dopóki nie rozległ się zirytowany głos Neala.

- Steki gotowe!

- Jeśli ktoś lubi półsurowe - mruknęła Maryann. - Mój jeszcze potrzyмай na grillu! - krzyknęła przez okno.

Do kuchni wszedł Craig i na zdziwione spojrzenie Temple odpowiedział wzruszeniem ramion.

Dziesięć minut później wszyscy zasiedli do stołu.

- Jedzcie - zachęcił Neal. - Podaj sos do steków, Maryann.

- Siedzisz bliżej lodówki, kochanie.

Spojrzenia małżonków spotkały się w milczącym pojedynku.

- Ja przyniosę - zaoferowała Temple.

- Siedź - powstrzymała ją Maryann. - Jesteś gościem. Wstała od stołu i wyjęła sos z lodówki.

Zaczęli jeść. Mężczyźni prowadzili swobodną rozmowę, lecz Maryann milczała, posepnie wpatrzona w swój talerz. Atmosfera w kuchni była tak ciężka, że Temple czułaby się lepiej w pomieszczeniu pełnym grzechotników.

Najwyraźniej związek Neala i Maryann nie był długim pasmem rozkoszy, jak początkowo myślała. Spojrzała poprzez stół na Craiga, lecz on albo nie wyczuwał panującego napięcia, albo po prostu nie zwracał na nie uwagi. Wspominał właśnie kolejną wojenną historię.

Temple wsłuchiwała się w jego ciepły baryton, który brzmiał w jej uszach tak znajomo. Fakt, że zatajał przed nią niektóre sprawy, niepokoił ją bardziej, niż powinien. Dlaczego nawet słowem nie wspominał o Nealu i Maryann?

- Nigdy nie okazuj swojej wyższości, nawet jeśli masz rację - zakończył opowieść Craig.

- Zasada numer jeden - zachichotał Neal.

Maryann gwałtownie wstała od stołu i z zaciśniętymi wargami zaczęła sprzątać naczynia.

- Chcecie kawy?

- Chętnie się napiję - podziękowała Temple. - Pomóc ci?

- Koniecznie, jeśli kawa ma się nadawać do picia - wtrącił Neal.

- Czy to jakieś insynuacje? - spytała Maryann.

Para znowu wrogo popatrzyła sobie w oczy. Atmosfera stała się już naprawdę nie do zniesienia. Temple spojrzała na Craiga. Chętnie skreśliłaby mu kark za to, że zaprosił ją tu, by była świadkiem podobnych scen.

- Nie, stwierdzenie faktu - powiedział Neal. Temple skuliła się wewnątrz od tych okrutnych słów.

- Bardzo mi przykro, ale poczułam ból głowy - oświadczyła nagle Maryann. - Wybaczcie, że was opuszczę.

Wstała od stołu i w tym samym momencie podniósł się Craig. Temple dała mu znak oczami, że pora pożegnać gospodarzy. Po chwili usłyszeli głośnie trzaśnięcie drzwi sypialni.

Zamówili taksówkę i wyszli na ganek, by poczekać na jej przyjazd. Kiedy dotarli do hotelu, zatrzymali się przez chwilę na chodniku i patrzyli, jak tylne światła samochodu nikną we mgle. Nagle oboje wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Ciekawe doświadczenie - wydusiła w końcu Temple, kiedy zdołała chwycić oddech.

- Naprawdę tak uważasz?

- Niezupełnie.

Stali w smudze światła padającej przez hotelowe drzwi i wspominali nieprzyjemny epizod.

- Podaj sos, Maryann! - zawołał Craig.

- Siedzisz bliżej, kochanie! - odparowała Temple.

Lekko dotknęła ramienia Craiga. W najczarniejszych snach nie wyobrażała sobie, by mógł się kiedykolwiek zachować tak jak Neal dzisiejszego wieczoru.

- Dlaczego nigdy ani słowem nie wspomniałeś o Maryann i Nealu? - spytała.

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym.

- Wiedziałeś, że mają kłopoty?

- Czy proponowałbym ci wspólny wieczór z nimi, gdybym o tym wiedział?

Temple przystanęła w holu i uważnie popatrzyła na Craiga.

- Tak, sądzę, że zrobiłbyś to. - Nagle zamiary przyjaciela stały się dla niej jasne jak słońce. - Próbowalesz zwrócić mi na coś uwagę, prawda?

- Na co?

- Że małżeństwo jest czymś wspaniałym, pod warunkiem, że ma się obok siebie właściwego człowieka. W przeciwnym razie staje się piekłem.

Czy powinnam go spytać, dlaczego tak bardzo chciał mi to uświadomić, zastanawiała się. Czyżby pomyślał o sobie i Nancy? Albo o mnie... i tych wszystkich facetach, z którymi się spotykałam?

- Masz inne zdanie na ten temat?

Kiedy czekali na windę, Temple rozważała jego słowa. Miłości nie można poganiać. Jak powiadała babcia, potrafiła się zjawić w najmniej oczekiwanym momencie i w postaci najmniej spodziewanej osoby.

W windzie nagle zrozumiała, dlaczego Craig zerwał zaręczyny z Nancy. Wiedział, że nie są dla siebie odpowiednimi partnerami. Kłopot polegał na tym, że Nancy była odmiennego zdania.

- Miałaś rację - powiedziała w końcu. - Bardzo polubiłam Maryann. Jednak ten ich związek... Wiesz, chyba powinniśmy zwolnić tempo szukania właściwego partnera - zadumała się na głos. Po doświadczeniach minionego wieczoru samotna egzystencja wydała jej się bardzo kuszącą wizją.

Craig bez słowa zamknął ją w lekkim uścisku. Temple przytuliła się do jego szerokiej piersi. Nagle zaśmiała się w głos.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Chcesz zobaczyć, co pomyślałam w pierwszej chwili, kiedy poznałam Neala i Maryann? Znajdź tylko właściwego mężczyznę, Temple, a podobne życie stanie się i twoim udziałem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mgle zaczął towarzyszyć zimny deszcz. Na zewnątrz było tak ponuro, że nawet posępny hotelowy pokój wydawał się w tym momencie całkiem przytulny.

- Czy twoim zdaniem rano mgła się podniesie? - spytała Temple.

- Trudno przewidzieć.

Craig zamknął drzwi na klucz, po czym cisnął go na szafkę.

- Przynajmniej porządnie się wyśpimy - powiedziała Temple. Jak to miło, że nie będą musieli się zrywać, by zdążyć na wpół do szóstej na lotnisko.

- Koło piątej zadzwonię do wieży - stwierdził Craig. - Dowiem się, co słychać. - Ściągnął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. - Jestem głodny.

- Mam w torebce batonik.

- Nie o tym myślę.

Temple zsunęła pantofle i z podwiniętymi nogami usiadła na jedynym krześle, znajdującym się w pokoju.

- Maryann powiedziała, że wspominałeś im o mnie.

- Doprawdy?

- Tak twierdzi Maryann.

- Być może wspominałem. Które łóżko wolisz?

- To z prawej.

Craig zdjął krawat, cisnął go na nocny stolik, podszedł do okna i oparłszy ręce na biodrach, wyglądał na ulicę. Powoli zaczął rozpinąć koszulę. Temple zapało dech w piersiach. Nancy miała rację. To wspaniała mężczyzna.

No właśnie. Przyjaciółka do dziś nie umiała o nim zapomnieć. Czy ją czeka to samo, jeśli kiedyś przestaną być najlepszymi kumplami?

- Znam cię od tak dawna, a ciągle odkrywam w twoim życiu sprawy, które stanowią dla mnie zagadkę - odezwała się.

Craig roześmiał się głośno. Serce Temple zaczęło bić mocniej.

- Co chcesz wiedzieć? W jakich latach służyłem w armii, kiedy odszedłem? Jaki numer butów noszę, jak przyrządzone jajka lubię najbardziej?

- Do połowy lat osiemdziesiątych, podczas wojny w Zatoce Perskiej, dziewiąty, jajecznicę - wyrecytowała Temple. - Dlaczego zerwałeś z Nancy? - wyrwało jej się zniecierpliwiona.

Craig skrzywił się. Wyraźnie nie miał ochoty odpowiadać na to pytanie.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale Nancy nigdy mi nie powiedziała... Po prostu zastanawiałam się... Co naprawdę było przyczyną waszego rozstania? - Inna kobieta, inny mężczyzna? dodała w duchu.

- Czy nadal się przyjaźnicie? - spytał Craig.

- Dzwonimy do siebie od czasu do czasu. Craig zdjął koszulę i powiesił ją do szafy.

- Nie chcę rozmawiać o Nancy - uciał. - Zakończyliśmy znajomość, nasze drogi się rozeszły. W torbie mam pizamę - dodał, odpowiadając na pytanie, które Temple zadała kilka godzin temu.

Trudno powiedzieć, czy nagła zmiana tematu rozczarowała ją, czy też przyniosła ulgę. Z jednej strony rozczarowała, bo chciała znać prawdę. Z drugiej zaś przyniosła ulgę, gdyż wołała o niczym nie wiedzieć.

- Jakoś nie widzę cię w pizamie - powiedziała niespodziewanie, wyobrażając sobie wyciągniętego na łóżku nagiego Craiga.

- Prawidłowo - odparł ciepłym barytonem, który przeniknął ją na wylot. - Weź górę, a ja nałożę spodnie. - Wydobył pizamę z torby podróżnej i rzucił ją Temple. - Nie wiem jak ty, ale ja jestem gotów iść do łóżka.

Mogłaby przysiąc, że w tym momencie się uśmiechnął. Nie zdążyła jednak sprawdzić tego, gdyż szybko się odwrócił.

- Chyba pooglądam sport - powiedział.

Temple zamknęła się w łazience. Oparta o drzwi, zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać. Wiedziała, jak wygląda opalone ciało Craiga, gdyż wiele razy pływali wspólnie w hotelowych basenach. Obcisłe spodnie kąpielowe niewiele ukrywały. Dzięki codziennej gimnastyce miała nienaganną sylwetkę. Zauważyła, z jakim zachwytem wpatrywały się w niego kobiety.

Dobry Boże, pomóż mi przetrwać tę noc, pomyślała.

Odsunęła się od drzwi i odkręciła kurek z wodą. Spojrzała w lustro. Skąd to jej nagle zainteresowanie Craigem? Dlaczego zaczęła analizować każde jego słowo, każde spojrzenie? Czemu wyobrażała go sobie nago? Co się zmieniło? Przecież w ciągu minionych lat nie raz zwierzali się sobie z najbardziej intymnych przeżyć, pielęgowali jedno drugiego w chorobie.

Jednakże Temple świadomie utrzymywała między nimi pewien dystans. Dlaczego więc teraz zaniepokoiło ją, że nie mówił jej o pewnych sprawach? Czyżby chodziło tylko o Nancy?

No cóż, musiała uczciwie przyznać, że nagle zapragnęła czegoś więcej niż przyjaźni z Craigiem. Co by się jednak stało, gdyby zrobili następny krok, a on okazałby się fałszywy? Czy umiałaby żyć bez Craiga?

- Usnęłaś tam, czy co? - Craig zabębnił w drzwi łazienki.

- Przepraszam. Zaraz wychodzę.

Szybko upięła włosy i zanurzyła się w wannie.

- Czy od tamtej pory myślałeś czasem na serio o małżeństwie?! - zawołała.

- Tak.

- Dlaczego więc... nie ożeniłeś się?

Przez chwilę była pewna, że nic nie odpowie. Nie znosił żadnych nacisków, zaś ona zachowała się natrętnie.

- Kiedy pora była odpowiednia, brakowało właściwej kobiety. Kiedy znalazła się kobieta, czas nie sprzyjał.

- Kim była ta właściwa kobieta?

Craig milczał dość długo, a Temple pożałowała, że w ogóle zadała to pytanie.

- Naprawdę chcesz spędzić całą noc w łazience? - odezwał się w końcu.

Odetchnęła z ulgą. Tak naprawdę wcale nie chciała się dowiedzieć, którą kobietę Craig pokochał wystarczająco mocno, by ją poślubić.

- Za pięć minut wychodzę.

Rzeczywiście wkrótce zjawiała się w pokoju, ubrana w górę od jego piżamy. Craig leżał wyciągnięty na łóżku i oglądał telewizję. Był

odprężony, zrelaksowany. Najwyraźniej perspektywa wspólnej nocy w ogóle go nie poruszyła. Spojrzał przeciągle na Temple.

- Czy ta bogini mogłaby się przedstawić? - spytał.

- Temple Burney, do usług.

Zachowuj się swobodnie i przyjacielsko, nakazała sobie w duchu.

- Naprawdę nie żartowałeś - oświadczyła.

- Na jaki temat?

- Że nie nosisz piżam. Ta ma jeszcze z tyłu metkę. - Temple usiadła na skraju łóżka i zaczęła szczotkować włosy.

- Nigdy nie żartuję. Nadają twój ulubiony film.

- Który?

- Ten z Doris Day i Davidem Nivenem. On jest nowojorskim krytykiem, mają mnóstwo dzieci, a najmłodsze trzymają w zamkniętej klatce...

- „Nie jedzcie stokrotek” - przypomniała sobie Temple. - Wcale nie trzymają dziecka w klatce. Kiedy ich rodzina się powiększyła, mieszkanie okazało się za małe, więc Doris Day umieściła dziecko w kojcu odwróconym dnem do góry.

Craig przekazał Temple pilota i podniósł się z łóżka.

- Idę wziąć prysznic. Gdybyś miała ochotę popłakać podczas wzruszających momentów, masz tu chusteczki.

Kiedy za Craigiem zatrzasnęły się drzwi łazienki, Temple zaczęła mocować się ze sztywną metką, która drapała ją w szyję, ale oderwanie jej okazało się wcale nie takie proste. W końcu dała sobie z tym spokój. Wtuliła głowę w poduszkę. Szum lejącej się w łazience wody działał odprężająco. Gdzieś z oddali dobiegał głos Davida Nivena, który rozmawiał z Doris Day. Siedzieli w romantycznej włoskiej restauracji,

pełni nadziei na odnowę ich podupadającego związku. Czemu ona nie może znaleźć faceta z takim poczuciem humoru, jakie ma David Niven, tak uprzejmego i pewnego siebie. Kogoś takiego jak... Craig. Westchnęła głośno.

- Mówiłaś coś? - zawołał z łazienki.

Temple usiadła, otrząsając się z półsnu, w który zdążyła już zapaść. Zobaczyła, że drzwi od łazienki są uchylone. Craig stał przed lustrem i suszył włosy ręcznikiem. Spodnie od pizamy osunęły mu się nisko na biodra.

- Wszystko w porządku? - spytał, wychylając się zza framugi.

- Tak, to znaczy... Czy mógłbyś mi odczepić metkę od pizamy?

Drapie mnie w szyję, a sama nie mogę sobie z tym poradzić...

Kiedy się do niej zbliżył, poczuła zapach old spice'a.

- Niezłe nogi, Burney - rzucił. Speszona szybko podciągnęła kołdrę.

- Taka jesteś skromna? - Uśmiechnął się szeroko. W lewym policzku utworzył mu się mały dołeczek.

Craig naprawdę jest zabójczo przystojnym mężczyzną.

- Odwróć się.

- Co?

- Jeśli mam ci zdjąć tę metkę...

- Ach, tak.

Temple poczuła się jak idiotka. Szybko odwróciła się plecami do Craiga, by ukryć nagły rumieniec na twarzy.

Odgarnął jej włosy na bok. Drgnęła, czując na szyi dotyk jego palców. Pożałowała nagle, że poprosiła go o pomoc.

- Czemu jesteś dziś taka nerwowa?

- Nie zwracaj głowy, tylko zdejmij metkę.

Dłonie Craiga były takie ciepłe... Szkoda, że on nie... Daj spokój, natychmiast skarciła się w myślach.

- Gotowe - oznajmił. - Masz trochę zaczerwienioną skórę na szyi. Natrzeć ją kremem?

Ostatnim wysiłkiem woli odsunęła się od niego.

- Dziękuję, nie trzeba.

Umościła się w pościeli. Nagle wydała jej się szorstka i nieprzyjemna. Poduszka była płaska jak naleśnik, kołdra zimna.

- Zostaw w łazience zapalone światło - poprosiła.

- Dobrze - odparł Craig.

Poszedł dokończyć toaletę, a Temple zamknęła powieki i nakryła twarz dłońmi.

Idiotko, przestań patrzeć na niego w ten sposób. Nie jest ślepy i zauważy, że robisz maślane oczy.

Craig wreszcie położył się i zgasił lampkę. Temple udawała, że już śpi. Szelest prześcieradła, dobiegający z sąsiedniego łóżka, drażnił jej pobudzone nerwy. W końcu Craig przestał się wiercić i wtedy w pokoju zapadła taka cisza, że Temple słyszała własny oddech.

- Daję centa za twoje myśli.

Udała, że nie słyszy. W tej chwili nie zdradziłaby swoich myśli nawet za milion dolarów.

- Daj spokój, przecież nie śpisz. Nigdy nie umiałaś zasnąć od razu. Broniła się dzielnie przed ogarniającym ją pożądaniem. Jeśli po prostu zignoruje Craiga.,.

Przez minutę czy dwie nie powiedział ani słowa.

- Dziwne uczucie, prawda? - usłyszała w końcu.

- Tak - mruknęła bezwiednie i natychmiast pojęła, że się zde-maskowała.

Leżeli w ciemnościach, wsłuchując się w ciszę. Temple jeszcze nigdy w życiu nie czuła się taka samotna. Zrozumiała nagle, dlaczego babcia nalega, by znalazła sobie kogoś bliskiego.

- Zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, że my...? Czyżby czytał jej w myślach? przeraziła się.

- My? - powtórzyła z udawanym zdziwieniem.

- Tak - odparł niepokojąco zmysłowym głosem. - Że nigdy nie byliśmy...

Czekała, żeby dokończył zdanie. Na próżno.

- Gdzie nie byliśmy? - spytała w końcu.

- W takiej... Nigdy nie poszliśmy razem do łóżka. Dlaczego? Temple przełknęła ślinę. Żadna błyskotliwa odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

- Przecież jesteśmy tylko przyjaciółmi - bąknęła.

- Sądzisz, że nie można być jednocześnie przyjaciółmi i kochankami?

Uważaj, rozmowa schodzi na niebezpieczny grunt, pomyślała Nawet trudno przewidzieć dalsze konsekwencje.

- To, co nas łączy... nasza bliskość... jest czymś niezwykłym - wyszeptała.

- Zgoda - odparł Craig. - Ale czy to, co mogłoby nas zbliżyć jeszcze bardziej, nie byłoby równie wspaniałe?

- Zamiana „dobrego” na „lepsze” często kończy się tragicznie.

- Nie zgadzam się z tobą.

- Znam wiele podobnych przypadków wśród przyjaciół.

- Czuję, że nam udałoby się nieźle.

Nieźle? Z pewnością wstąpiliby do raju. Ale czy się odważą? Czy ona stawiałaby czoło nowej sytuacji? Usiadła i zaczęła palcami przeczesywać włosy.

- Pomyśl nad tym - ciągnął Craig, gdy Temple ciągle milczała.

- Czemu dwoje dorosłych nie może cieszyć się sobą nawzajem, jeśli oboje mają na to ochotę?

- Lepiej już śpijmy. - Temple położyła się, próbując ukryć rozczarowanie. Oczekiwała czegoś więcej niż przelotnego seksu, zwłaszcza z Craigiem.

Czuła na sobie w ciemności jego spojrzenie. Rozdrażniona przekręciła się na bok, potem znowu na plecy.

- Czemu się wierzisz? - spytał.

- Zimno mi. - Naprawdę poczuła, że temperatura w pokoju staje się lodowata.

- Nakryj się jeszcze kocem.

- Nie ma żadnego koca. Już szukałam.

Ciało Temple pokryła gęsia skórka. Drżała, lecz nie tylko z zimna. Każdą komórką swego ciała pragnęła Craiga.

- Wobec tego chodź do mnie, to cię ogrzeję.

Zapadła cisza, przedłużająca się w nieskończoność. Oba łóżka dzieliła szerokość Wielkiego Kanionu. O szyby bębniły głucho krople deszczu. Ziąb stawał się nie do zniesienia.

- Przyjdiesz? - nalegał Craig. - Przecież cię nie ugryzę... jeśli mnie nie poprosisz.

- Nie podejrzewam cię o to, zwłaszcza po naszej ostatniej rozmowie.

- Twoim zdaniem przyjaciele nie mogą ogrzać się nawzajem? Craig na pewno mógłby ją ogrzać. Rozpalić do czerwoności.

- Nie ufasz mi? - spytał.

Przede wszystkim nie ufała samej sobie.

- Za chwilę będzie mi ciepło - odrzekła.

- Rób, jak uważasz.

Deszcz za oknem zamienił się w grad. Temple szczelnie owinęła się kołderką, lecz mimo to szczykała zębami, gdyż liche okrycie nie było w stanie dostarczyć ciepła.

- Słyszałem kiedyś opowieść o człowieku, który zgubił się wśród śnieżnej zamieci - usłyszała w ciemnościach głos Craiga. - Zastrzelił wtedy krowę, rozkroił jej brzuch, wypatroszył wnętrzności i wśliznął się do środka, by nie zamarznąć.

- Ty również nie możesz zasnąć? - spytała Temple.

- Nie mogę, bo także mi zimno.

- Ciekawa historyjka o tej krowie. Bez sensu, ale naprawdę ciekawa.

Temple czuła, że za chwilę zmieni się w kostkę lodu, lecz twardo nie ruszała się z łóżka. Kiedy jednak grad zaczął mocniej bić o szyby, zabrała kołdrę i przeniosła się do Craiga.

- Posuń się - szepnęła, trącając go w bok. Zrobił jej miejsce, nie otwierając nawet oczu.

Niepewnie ułożyła się na skraju łóżka. Craig jednym ruchem ramienia przyciągnął ją bliżej do siebie. Dotykała teraz plecami jego klatki piersiowej, ich nogi stykały się ze sobą. Przestała myśleć o tym, że popełnia błąd. Rozkoszowała się ciepłem bijącym z męskiego ciała.

- Długo się wahałaś - mruknął Craig. Gorący oddech owiał kark Temple.

- Nie myśl, że to kapitulacja - ostrzegła. - Czułam jednak, że zmienię się w sople lodu, a nigdzie nie było krowy.

Tuląc się do siebie, zapadli w sen.

Przed świtem Craig przebudził się, boleśnie świadom bliskości Temple. Położyła rękę na jego piersi, kolanem wbijała się w udo. Jej ciepły oddech przypominał delikatne muśnięcia ptasiego skrzydła. Pachniała jak dzikie kwiaty na łące. Nagle zrozumiał, że tak jak być powinno. Miejsce Temple jest u jego boku.

Kiedy ostrożnie odwrócił głowę, zobaczył rozrzucone na poduszce kasztanowe włosy. O tym widoku marzył i śnił. We śnie nie czuł jednak bólu, który przeszywał go teraz od nadgarstka po obojczyk. Temple leżała mu na ramieniu, uniemożliwiając jakąkolwiek zmianę pozycji. Spróbował lekko wyswobodzić ramię. Temple westchnęła przez sen i przysunęła się jeszcze bliżej, obejmując go za szyję.

- Unieś się trochę - szepnęła.

- Uhm - mruknęła, oblizując wargi. Ciepły oddech owionął mu twarz.

Tego już było za wiele.

Najdelikatniej jak umiał, dotknął ustami jej warg. Jęknęła cicho i oddała pocałunek.

Nigdy dotąd nie całowali się w ten sposób. Więcej, Craig nigdy nie całował tak żadnej kobiety. Żaden pocałunek nie był tak słodki, głęboki i podniecający. Śnił o czymś podobnym, ale rzeczywistość przerosła wszelkie wyobrażenia.

Wyciągnął rękę i zaczął walkę z guzikami od piżamy Temple. Pozwijana pościel przeszkadzała mu, więc niecierpliwym ruchem odsunął kołdrę na bok i jeszcze gwałtowniej wpił się w usta Temple. Nie

pozostawała bierna. Przyłgnęła do niego całym ciałem, ciasno objęła go za szyję. Krew zawrzała w nim jak lawa.

Nagle jednak głowa Temple opadła na poduszkę. Dziewczyna westchnęła cicho, przekreśliła się na bok i zapadła w głęboki sen.

Oszołomiony Craig z trudem chwycił oddech, serce waliło mu jak młotem. Położył się na plecach, przycisnął dłonie do czoła i zaczął Wpatrywać się w sufit. Ciało domagało się zaspokojenia. Pragnął Temple aż do bólu.

Co miał teraz zrobić?

Popatrzył na twarz śpiącej dziewczyny. Czy w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, co zaszło?

Obróciła się na bok. Poły pizamy rozchyliły się i Craig dostrzegł zarys kobiecych piersi. Pokusa była zbyt silna. Wyciągnął rękę, dotykając lekko podniecających pagórków. Temple poruszyła się, przesunęła dłoń w dół brzucha Craiga.

Obie części pizamy wylądowały na podłodze. Dwa nagie ciała przyłgnęły do siebie. Ręce i nogi splotły się ze sobą.

Pasowali do siebie doskonale, jakby stanowili dwie połówki jednej całości. Temple reagowała na każdy ruch Craiga, o ułamek sekundy wyprzedzała to, co zamierzał zrobić. Podniecała go. Doprowadzała do szaleństwa. Było za późno, by myśleć, za późno, by się z tego wycofać. Jutro będzie się martwił o ich przyjaźń. Dziś namiętność zwyciężyła racjonalne myślenie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Craig ocknął się nad ranem. Zerknął na podświetloną tarczę zegarka i zobaczywszy, że już po piątej, sięgnął po telefon. Dyżurny na wieży zapewnił go, że mgła nie zacznie się podnosić wcześniej niż za parę godzin. W tej sytuacji przekreślił się na bok i zanim ponownie zapadł w sen, przyciągnął Temple do siebie.

Było dość późno, kiedy oboje się obudzili.

- Która godzina? - zapytała Temple zasnętym głosem.

- Dochodzi dziewiąta - odparł Craig.

Temple przeciągnęła się leniwie. Było jej ciepło, czuła się wspaniale.

- Nie wstawajmy jeszcze - poprosiła.

- Rozkaz.

Chwile spędzone w łóżku przeciągały się. Rozmawiali cicho, ogarnął ich błogi nastrój.

Craig cieszył się bliskością Temple. Tego ranka - z zaspanymi oczami, potarganymi włosami i zaróżowionymi od snu policzkami wyglądała jak mała dziewczynka. Rozchylone usta zapraszały, kusiły...

Jednak żadnym gestem ani słowem nie dała po sobie poznać, że pamięta, co zdarzyło się ostatniej nocy. Craig chciał dzielić wraz z nią tamte przeżycia, cudowne poczucie bliskości, kiedy trzymał ją w ramionach, ale Temple najwyraźniej nie była na to gotowa.

Dobrze, zostawi jej czas na przemyślenia i zobaczy, co z tego wyniknie.

Koło dziesiątej zeszli na śniadanie do hotelowej restauracji. Jedząc naleśniki i kielbaski prowadzili tak zwyczajną rozmowę, że

Craig zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem coś mu się nie przyśniło, kiedy jednak spojrzał Temple w oczy, a ona odwróciła głowę, zrozumiał, że niczego nie wymyślił. Nie poganiaj jej, powtarzał sobie. Czas wszystko pokaże.

- Co planujesz po powrocie do Dallas? - spytał.

- Chcę na kilka dni wyjechać do babci.

- Kiedy wrócisz?

- Być może nigdy. - Westchnęła. - Najpewniej jednak w piątek. -

Dokończyła jeść ostatni naleśnik i uśmiechnęła się szeroko. - Wiem, że będziesz umierał z tęsknoty i czekał na mój powrót. Zżera cię zazdrość o związek Neala i Maryann i pragniesz tego samego.

Ani słowa na temat wydarzeń minionej nocy. Craig uniósł kubek z kawą, uśmiechając się kpiąco. Za nic nie chciał okazać teraz swojej frustracji.

- Musimy się pospieszyć - powiedział.

Następnego ranka Temple wyruszyła w podróż i po trzech godzinach jazdy dotarła do Summersville. Wiedziała, że o tej porze w środę zastanie babcię w kościele, więc postanowiła podjechać najpierw tam.

Odbywała się właśnie próba chóru. Temple przycupnęła w ostatnim rzędzie ławek i spojrzała w górę. Łagodne światło sączące się przez witraże nappełniło ją spokojem, mimo że to uczucie było teraz obce jej duszy.

Kiedy ucichły organy i dyrygentka Eleanor Liddy, babcia Temple, odwróciła się, zauważyła swoją wnuczkę. Twarz starszej pani rozjaśnił radosny uśmiech.

- Tootie! - zawołała. - Co za miła niespodzianka.

- Witaj, babciu. - Wyściskały się serdecznie, Temple ledwo powstrzymywała łzy wzruszenia.

- Alto, Berto, Virginio! Poznajcie moją wnuczkę. - Eleanor przywołała swoje przyjaciółki chórzystki.

Trzy starsze panie zeszły z galerii i ruszyły w stronę Temple.

Wszystkie były mniej więcej w tym samym wieku co jej babcia i miały podobny fioletowawy odcień siwizny.

- Dużo o tobie słyszałyśmy - powiedziała jedna z nich.

- Eleanor opowiadała, że prowadzisz ekscytujący tryb życia - zaszcebiotała druga. - Jesteś stewardesą, prawda?

- Jakie to podniecające - entuzjazmowała się trzecia. - Tylu przystojnych, zabójczych mężczyzn dokoła!

- No jasne! - wykrzyknęła Temple, dodając w duchu: gdybyście tylko wiedziały...

Jak miło wrócić w znajome miejsca, myślała potem, jadąc wraz z babcią do jej domu. Te same zapamiętane z dzieciństwa jednopiętrowe domki z dużymi werandami, na których stoją skrzynki pełne kwitnących kwiatów, stara kępielnia na rogu, brukowane kocimi łbami wąskie uliczki, ocienione szpalerem wysokich drzew. W centrum miasteczka tkwił jak przed laty pokryty ptasimi odchodami pomnik jakiegoś generała.

Zawsze, kiedy wracała w rodzinne strony, ogarniał ją spokój i poczucie stabilizacji, mimo iż nie było już domu, w którym dorastała. Kilka lat temu babcia doszła do wniosku, że dom jest zbyt duży dla jednej osoby, więc sprzedała go i kupiła małą, porośniętą bluszczem willę, usytuowaną bliżej kościoła. Stary dom wyburzono, a na jego miejscu zrobiono duży publiczny parking.

Temple zasiadła przy znajomym okrągłym stole z masywną nogą, zakończoną rzeźbionymi w drewnie pazurami, i zabrała się do pałaszowania czekoladowych ciasteczek. Od wielu lat według tej samej recepty piekła ciasteczka dla Craiga.

No właśnie, Craig.

Nagle straciła apetyt. Odłożyła ciasteczka i sięgnęła po szklanekę mleka. Siedząca naprzeciwko babcia uważnie obserwowała swoją wnuczkę.

- No, to powiedz mi w końcu, co cię dręczy - odezwała się po chwili.

- Nic mnie nie dręczy. Po prostu chciałam cię zobaczyć.

- Cieszę się - odparła Eleanor. - Zbyt rzadko się widzujemy. Przestań jednak kręcić i powiedz szczerze, co cię tu przywiodło.

Babcia zawsze umiała przejrzeć ją na wylot.

- Nic się przed tobą nie ukryje. - Temple westchnęła, łamiąc w dłoni kawałek ciasteczka.

- Kocham cię. - Eleanor poklepała wnuczkę po ręku. - Zawsze możesz na mnie liczyć, prawda?

- Czasami żałuję, że czasy się zmieniły. Wolałabym, żeby świat wyglądał tak, jak pięćdziesiąt lat temu. Jasne zasady, spokój, pewność.

- Kiedy byłam młoda, życie wcale nie było łatwiejsze. Dręczyły nas podobne pytania, jak was dzisiaj. Z kim, kiedy? Było to dla nas równie ważne.

Temple nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Tootie, kochanie, twój dziadek był moją pierwszą i jedyną miłością, co wcale nie znaczy, że życie układało nam się po różach. - Babcia spojrzała łagodnie na wnuczkę. - Twój rodzice też mieli swoje zmartwienia, zwłaszcza mama, kiedy tata nie wrócił z Wietnamu. Kobiety

od początku świata przeżywają niepokój związany z mężczyznami. Smutek w twoich oczach świadczy o tym, że dręczą cię podobne problemy.

Powiedz mi więc, co kazało ci przebyć taki szmat drogi do Summersville i to w samym środku tygodnia.

- Chyba popełniłam wielki błąd - odparła ze smutkiem Temple.

- Błędy zawsze można naprawić - pocieszyła ją babcia.

- Ten jest wyjątkiem.

- Zastanówmy się więc nad tym wspólnie.

- Pewien mężczyzna, lotnik... Przyjaźniliśmy się...

- Chodzi o Craiga Stevensa - domyśliła się babcia.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Temple.

- Wspominałaś o nim w każdym liście, i to nie raz. - Eleanor uśmiechnęła się ciepło. - Od lat go nie widziałam, ale pamiętam, że zawsze był porywający, nawet jako młodzieniec.

- Ależ babciu!

- O co chodzi? Starzy też mogą pomarzyć.

- Craig jest moim najlepszym przyjacielem. Jakby... częścią mnie samej. Najlepiej czujemy się wtedy, kiedy jesteśmy razem. Zawsze mamy o czym rozmawiać. Dzielimy podobne zainteresowania. To po prostu... fantastyczna przyjaźń.

- No cóż, kobiety miewają większe zmartwienia...

Temple obracała w dłoniach okulary, próbując znaleźć właściwe słowa.

- Dwa dni temu gęsta mgła zatrzymała nas na noc w obcym porcie.

Eleanor ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Jeszcze nie skończyłam! - zawołała z desperacją, przeczuwając, co babcia zaraz powie.

- Nie musisz.

- Jestem w nim zakochana - przyznała zrezygnowana Temple.

- I to jest ten wielki problem? - Eleanor sięgnęła po kolejne ciasteczko.

- Nie chciałam tego - wyznała Temple. - Pragnęłam, żeby wszystko między nami zostało tak, jak jest... jak było.

- Dlaczego, Tootie, skoro go kochasz?

- Nie chcę ryzykować utraty naszej przyjaźni z powodu... innych rzeczy. - Powinna powiedzieć, że chodzi o seks. Wspaniały, gorący, z niczym nieporównywalny seks. - Craig jest dla mnie zbyt ważny.

- A co on sądzi na ten temat?

- Nie wiem. Nie rozmawialiśmy o tym.

- Jak to: nie rozmawialiście?

- Po prostu stało się, babciu, a ja... zachowałam się jak tchórz.

Następnego ranka unikałam rozmowy na temat nocnego epizodu.

Udawałam, że niczego nie pamiętam.

- No to Craig miał o czym rozmyślać. - Babcia pokiwała głową. - Ty też.

- Co mam robić? - westchnęła Temple. - Craig nie tylko jest moim najlepszym przyjacielem, ale kiedyś był zaręczony z moją najbliższą przyjaciółką. Ich związek się rozpadł, ale Nancy dotąd się w nim kocha.

- To już nie twoje zmartwienie.

- Znasz mnie, babciu. Czuję się winna nawet wtedy, kiedy ogłoszę cudzego psa. Skoro Nancy kocha Craiga, to tak, jakby trochę należał do niej. Nie umiałabym spojrzeć jej w oczy, gdyby między nami...

- Powikłana historia - westchnęła babcia.

- Tak bywa - odparła Temple.

Rozmawiały podczas kolacji, a potem jeszcze długo w nocy. Temple odkryła w babci całkiem nową osobę, od której wiele mogła się nauczyć. Dotąd uważała ją za miłą starszą panią, kojarzyła z gorącą herbatą i domowymi wypiekami. Teraz dowiedziała się, że Eleanor posiada wnikliwą intuicję i znajomość ludzkich dusz.

Późno położyła się do łóżka, ale nie spała dobrze tej nocy. Co i rusz budziły ją sny przesycone erotycznymi wspomnieniami chwil spędzonych z Craigiem. W piątek rano wstała w kiepskim nastroju.

- Znowu źle spałaś? - spytała babcia. Ubrana w szlafrok krzątała się po kuchni, szykując tosty na śniadanie.

- Nie było tak tragicznie. Babciu, nie musiałaś wstawać przed czwartą, żeby mnie wyprawić.

- Nie musiałam, ale miałam ochotę. Lepiej ci na myśl o Craigu?

- Gorzej - przyznała Temple. Craig miał rację. Czasami tak głupio się składa, że poznaje się odpowiedniego człowieka w nieodpowiednim czasie.

- Przynajmniej sama ze sobą jesteś szczerą. - Babcia obróciła bekon na patelni. - W zamierzonych czasach, kiedy jako młoda kobieta zastanawiałam się, czego chcę od życia, popełniłam kilka błędów. Nic zasadniczego, ale i tak zmusiło mnie to do pewnych przemyśleń. Być może ta mgła była waszym przeznaczeniem. Dzięki niej będziecie musieli zastanowić się, co naprawdę was łączy. Ile kawałków bekonu zjesz, kochanie?

Po śniadaniu Temple wyruszyła do Dallas, by zdążyć na lot o ósmej rano. Nie rozwiązała żadnego ze swoich problemów, ale poczuła się trochę lepiej. Godziny szczerych rozmów sprawiły, że babcia stała się jej jeszcze bliższa niż przedtem.

Dotarła na lotnisko przed czasem, zaparkowała pikapa jak zwykle na linii między dwoma stanowiskami i rozejrzała się dokoła. Nigdzie nie zauważyła Craiga.

No i dobrze. Chwilowo jeden kłopot z głowy. Wprost od drzwi ruszyła do bufetu, gdzie zdążyła już rozsiaść się Flo. Starsza pani popatrzyła domyślnie na młodszą koleżankę.

- Kiepski tydzień?

- Kiepskie życie. Źle spałam, boli mnie głowa - skłamała Temple, gramoląc się na wysoki stołek. - Tylko szybka kawa może mnie uratować.

Ginny nalała obu paniom po kubku gorącego napoju. Flo usadowiła się wygodnie i zapaliła papierosa.

- Słyszałam, że ty i Craig musieliście razem nocować. Zaszło coś między wami?

- Skąd taki pomysł? - Temple popatrzyła na Flo znad kubka.

- Sama nie wiem. Może stąd, że Craig nie wygląda ani trochę lepiej niż ty?

Flo popatrzyła w lustro, wiszące za ladą bufetu. Temple zamarła. Odwróciła się nieco i kątem oka dostrzegła w szklanej tafli odbicie sylwetki Craiga.

- Ma na nosie przeciwsłoneczne okulary. Skąd wiesz, jak wygląda?

- Przez cały tydzień chodził osowiały jak zbity pies. Co się wydarzyło w Houston?

- Nic. Byliśmy na kolacji u przyjaciół Craiga.

- Dobrze. I co dalej?

- Nam możesz się zwierzyć. - Ginny oparła łokcie o ladę i pochyliła się do przodu.

- Rozczaruję was. Po kolacji wróciliśmy do hotelu i poszliśmy do łóżka.

- No właśnie! - wykrzyknęła Flo.

- Każde do swojego. Nic się nie zdarzyło. Zadowolone?

- Jeśli ty byłaś...

Temple nie wiedziała, jak zmienić niewygodny temat rozmowy, by uniknąć dalszych pytań.

- Craig interesuje się mną wyłącznie z powodu... ciasteczek, które dla niego piekę - powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła na myśl.

- Dobrze sobie! - zawołała Ginny. - Widziałam, jak na ciebie patrzył. Zapewniam, że nie ciasteczka mu były w głowie.

- Powinniście zapomnieć o tej waszej przyjaźni - wtrąciła Flo. - Czy to grzech zostać kochankami?

- Muszę uciekać, spóźnię się na lot. - Temple ześliznęła się z wysokiego stołka i sięgnęła po podręczny bagaż.

- Tchórz - oskarżyła ją Ginny.

- Ciasteczka! Też coś! - parsknęła Flo.

Kiedy Temple dotarła na pokład samolotu, sprawdziła, czy w kucence wszystko jest w porządku, wzięła dwa kubki z kawą i zajrzała do kabiny pilotów. Dziś zajmowali ją Bruce Dumont i Craig, zajęci w tej chwili rutynową kontrolą urządzeń przed startem.

- Coś na wzmocnienie? - spytała.

- Aniele, ratujesz nam życie. - Bruce przyjął kubek, nie odrywając oczu od notatnika i wskaźników na tablicy przyrządów.

Craig również sięgnął po kawę i pociągnął spory łyk.

- Jak ci było u babci?

- Dziękuję, wspaniale. Przytyłam z pięć kilo na jej tostach, ziemniaczkach z masełkiem i pieczeniach.

- Jakoś nic po tobie nie widać. - Craig zlustrował szczupłą sylwetkę Temple.

Tego ranka nie żartowali jak zwykle. Wytłumaczyła to sobie faktem, że mieli opóźnienie.

W ciągu dnia nie zdarzyło się nic szczególnego. W Dallas wylądowali około szóstej trzydzieści.

Temple nie ukrywała się przed Craigiem, ależ skąd. Jednakże od razu po pracy wyruszyła do domu. W windzie zaczęła przeglądać korespondencję. Jęknęła głucho na widok znajomych gryzmołów na kopercie.

- Nancy - wyszeptała.

Rozerwała kopertę i przebiegła wzrokiem krótki list.

Jak pech, to pech. Nancy wybierała się na kilka dni do Dallas, by spotkać przyjaciół. Któregoś wieczoru chciała pójść z Temple na kolację. Zada mnóstwo pytań na temat Craiga.

Temple ogarnęły mieszane uczucia. Sama nie wiedziała, czego chce. Żeby Craig nie był pilotem, a Nancy jej przyjaciółką? Żeby Nancy zapomniała o Craigu? A może pragnęła wyrzucić z pamięci fakt, że sama kochała się z Craigiem i było im wspaniale? Tego nie dałaby rady zrobić.

Mimo usilnych starali nie mogła przestać o nim myśleć, więc zebrała brudne ubrania i zeszła do pralni. Spotkała tam znanego jej z widzenia lokatora z czwartego piętra. Przedstawił się jako Brian Baker. Pogadali chwilę, gdy ich rzeczy kotłowały się w pralkach, i umówili na drinka na następny wieczór. Temple zaproponowała, żeby spotkali się w popularnym pubie.

Co w tym złego? Wszystko lepsze niż ciągle myślenie o Craigu. Postanowiła już, że nadal będzie się z nim tylko przyjaźnić, a wszędzie, gdzie się da, rozglądać za właściwym mężczyzną. Może ma na imię Brian? Jest przystojny i wydaje się całkiem miły.

Zjawiała się w pubie kilka minut przed umówionym czasem i zajęła miejsce przy barze. Brian stawiał się ściśle o wyznaczonej porze. Pomachała mu dłonią, by przyciągnąć jego uwagę.

Dwa punkty dla niego. Nie kazał jej na siebie czekać, poza tym ubrał się porządnie w ciemne spodnie i marynarkę. Koszulę miał swobodnie rozpiętą pod szyją. Żadnych złotych łańcuszków czy bransoletek. Dobrze się zaczyna.

- Nie spóźniłem się, prawda?

- Wcale. - Temple wciągnęła w nozdrza zapach drogiej męskiej wody kolońskiej. Była to mieszanka leśnych aromatów, wyrazista, lecz nie natrętna.

Brian zamówił drinki.

- Przyjemny lokal - zauważył.

- To prawda - przyznała Temple.

Po chwili barman podał zamówiony alkohol. Brian upił trochę ze szklanki i rozsiadł się wygodniej na stołku. Lekko trącił Temple w udo kolanem. Nie poczuła nic poza lekkim uderzeniem, ale w końcu za wcześnie na inne reakcje. Pożądanie narasta powoli.

Przez jakiś czas prowadzili niezobowiązującą rozmowę. Brian wydawał się inteligentny i dobrze zorientowany w bieżących wydarzeniach. Zamówili następną kolejkę.

- Nieźle nam idzie. Może wobec tego wykluczmy z góry pewne sprawy - zaproponował w pewnej chwili. Miał niezwykle spięty wyraz twarzy.

- Co masz na myśli?

- Ustalenie pryncypiów.

Temple pociągnęła łyk alkoholu. Nadzieja na udaną znajomość zaczęła ją opuszczać.

- Zgoda.

- Na wstępie powiedz mi więc, jakie są twoje przekonania religijne.

Uśmiechnęła się lekko.

- Sądziłam, że raczej unika się takich tematów, zwłaszcza na pierwszej randce.

- Jestem innego zdania. No to jak?

- No cóż, wychowałam się w rodzinie katolickiej...

Brian gwałtownie odstawił szklankę na blat. Temple odruchowo cofnęła się nieco.

- Jesteś katoliczką?! - ryknął. Zbliżył się do Temple. - A na dodatek pewnie republikanką! - Żył nabrzmiała mu na szyi. - Chcesz pozwolić, aby ci pragmatyczni konserwatyści zrobili ci wodę z mózgu? - Uniósł szklankę i jednym haustem wypił jej zawartość. - Widzę, że to beznadziejna sprawa. - Poderwał się ze stołka i wybiegł z baru.

- Wariat - mruknęła Temple. - I po co mi to było? Barman przyglądał się jej uważnie.

- Cieszę się, że nie doszło do rozmowy o pieniądzach - powiedziała, sięgając po portmonetkę.

Barman zachichotał.

- Sądziłem, że będę musiał wręczyć pani chusteczkę i zadzwonić po taksówkę.

- Ja bym miała płakać z powodu nieudanej randki? - Cisnęła na ladę dziesięć dolarów. - Przeżyłam ich na kopy. To moja specjalność.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Becky, mam już dość. Przysięgam sobie, że nigdy więcej żadnych randek w ciemno.

Temple rozmawiała przez telefon, trzymając słuchawkę między policzkiem a ramieniem, gdyż jednocześnie wyjmowała z piecyka blachę pełną ciasteczek. Postawiła wypieki na blacie i kolanem zamknęła drzwiczki.

Przyjaciółka usilnie namawiała ją na spotkanie ze swoim kuzynem z Filadelfii, który przyjechał z wizytą do Dallas. Temple nie miała najmniejszej ochoty z nikim się umawiać, ale jak mogła odmówić Becky? Przecież to ona rok temu zastępowała ją podczas grypy.

- No dobrze, niech ci będzie. Ale pod warunkiem, że pójdziemy we czwórkę.

Uzgodniły, że Becky wraz ze swoim mężem Bobem i kuzynem Rickym przyjadą po Temple o wpół do ósmej wieczorem.

- Świetnie wyglądasz! - powitała Becky stojącą w progu przyjaciółkę.

Temple miała na sobie proste jedwabne spodnie w rdzawym kolorze i długą bluzkę z tego samego materiału. Włosy zebrała w koński ogon, a w uszy wpięła złote kółeczka.

- Panowie czekają na dole - oznajmiła Becky.

- Opowiedz mi coś o swoim kuzynie - poprosiła Temple.

- No cóż, widujemy się jedynie podczas rodzinnych zjazdów... - zaczęła niepewnie Becky.

Temple przystanęła gwałtownie.

- Spotykacie się raz na pięć lat?

- Raz na dwa lata - poprawiła Becky. - Z taką częstotliwością odwiedzamy rodzinę w Filadelfii. Ale wszystko w porządku - zapewniła Temple. - Ricky jest bardzo podobny do mojego wujka Randalla. Wszędzie czuje się swobodnie. Na pewno będziemy się dobrze bawić.

Temple ogarnęło przeczucie, że powinna pozostać wierna swemu postanowieniu, mimo to posłusznie chwyciła małą torebkę, w której miała prawo jazdy, kosmetyczkę oraz trochę drobnych i poszła z Becky do samochodu, gdzie czekali mężczyźni.

Ricky Lawrence był o piętnaście albo i dwadzieścia centymetrów wyższy niż Temple i muskularny, jak przystało na byłego piłkarza. Miał szeroką twarz, którą szpecił jakiś krzywy grymas, piwne oczy oraz przerzedzone jasnobrązowe włosy.

- Miło cię poznać, Temple! - zawołał entuzjastycznie i zamknął jej dłoń w żelaznym uścisku. - Becky opowiadała, że jesteś olśniewająca.

- Witaj - pozdrowił Temple siedzący na miejscu kierowcy Bob. - Za dwadzieścia minut czeka na nas stolik u „Antonia”.

Przykre wspomnienia z ostatniego pobytu w tym lokalu natychmiast pogorszyły nastrój Temple.

W piątek wieczorem w tej znakomitej włoskiej restauracji zwykle panował tłok, musieli więc poczekać w barze, aż zwolni się ich miejsce. Temple błagała niebiosa, by nikt z obsługi jej nie rozpoznał.

Ricky zamówił szkocką whisky, Bob piwo, a obie przyjaciółki po lampce białego wina.

- Zobacz, co puszczają! - Ricky lekko trącił Temple w ramię. Uniosła głowę znad kieliszka z winem i spojrzała w ekran telewizora, który był umocowany ponad barem. Nadawano właśnie najciekawsze fragmenty z futbolowych meczów. - Becky mówiła ci, że kiedyś grałem dla „Lwów” z Detroit?

- Naprawdę? A co teraz robisz?

- Pracuję w ubezpieczeniach. Popatrz! - krzyknął, znowu trącając Temple w ramię. - Walnął prowadzącego prosto w brzuch!

Dwóch mężczyzn siedzących przy barze odwróciło się w stronę Ricka.

- Czy ty jesteś... - zaczął jeden z nich.

- Ricky Lawrence. - Były zawodnik wyciągnął rękę.

- Tak myślałem. Rany, dlaczego wywalili cię z drużyny?! Człowieku, byłeś jak huragan!

Do rozmowy włączył się drugi z mężczyzn i po chwili czterej panowie pograżyli się rozważaniach na temat futbolu.

- Jak zwykle - westchnęła Becky, patrząc z wyrzutem na męża i kuzyna. - Przepraszam cię. Zawsze ktoś musi go rozpoznać i od tej pory poza piłką nic się już nie liczy. Dlatego cię namawiałam, żebyś się z nami wybrała, bo przynajmniej mam do kogo usta otworzyć.

Rebeka Winter również była stewardesą. Przerwała pracę osiem miesięcy temu, kiedy urodziła córeczkę, lecz mimo to obie przyjaciółki dość regularnie się spotykały.

- Cindy jest taka słodka - opowiadała Becky. - Nigdy nie podejrzewałam, że dziecko aż tak gruntownie zmieni nasze życie. Czy ty kiedykolwiek zamierzasz wyjść za mąż? - spytała, upijając łyk wina.

Temple roześmiała się trochę nieszczerze.

- Najpierw muszę znaleźć odpowiedniego mężczyznę.

- A chociaż się starasz?

- Tak, ciągle go szukam.

- Ricky byłby niezłą partią - powiedziała z przekonaniem Becky.

- Nie znam się na futbolu, poza tym w Filadelfii panują w zimie zbyt niskie temperatury.

- Ricky zakończył już karierę piłarską.

Nagle mężczyźni ryknęli śmiechem, gdyż któryś z nich opowiedział jakiś dowcip. Ricky obrócił się w stronę kobiet, jowialnie trącił Temple w ramię i zamówił następną whisky.

- Stolik na cztery osoby gotowy! - zawołał kelner.

- Bob - Becky szarpnęła męża za ramię - mamy już miejsce.

Wielbiciele Ricky'ego niechętnie rozstali się ze swoim idolem.

Próbowali go jeszcze zagadywać, kiedy wraz z Bobem i kobietami szedł do stolika. Wyraźnie nie sprawiało mu to przykrości.

- Ricky dwa lata temu miał w czasie meczu fatalną kontuzję kolana - szepnęła Becky do Temple. - Źle się goiło i w następnym sezonie wykluczono go z drużyny. Ciężko przeżył koniec kariery. Futbol był całym jego życiem. Mam nadzieję, że ci faceci nie przywołali przykrych wspomnień. Ricky jest taki wrażliwy...

Dobre sobie, pomyślała Temple.

Entuzjaści futbolu w końcu zostawili Ricky'ego w spokoju i obie pary mogły przejrzeć kartę dań.

- Czy podać coś do picia? - Kelner natychmiast pojawił się przy stoliku.

- Dla mnie podwójną szkocką! - zawołał Ricky, wymachując pustą szklanką.

Obaj panowie kontynuowali rozmowę, którą rozpoczęli przy barze. Nie wtajemniczonym trudno było zrozumieć, co znaczy na przykład „obrona tyłu”.

- O niczym innym nie potrafią gadać - prychnęła z irytacją Becky. - Powiedz mi lepiej, dlaczego nagle postanowiłaś przestać się umawiać z mężczyznami?

- To niezupełnie tak - poprawiła Temple. - Doszłam jedynie do wniosku, że pora skończyć z randkami w ciemno. Chyba ciąży nade mną jakieś przekleństwo. Normalni skądinąd mężczyźni w moim towarzystwie dziwaczej.

- Naprawdę? - nie mogła uwierzyć Becky.

- Nie żartuję. Księgowy, na przykład, cztery razy podliczał rachunek na serwetce. Potem był taki jeden, który miał hopla na punkcie zdrowia, a konkretnie właściwości leczniczych czosnku. Zaprosił mnie raz do teatru...

- Temple wzdygnęła się na to ponure wspomnienie. - Nim skończył się spektakl, wszyscy widzowie byli „uzdrowieni”. Poza tym tyle już razy musiałam płacić za kolacje, że przekroczyłam limit mojej karty kredytowej. Nie stać mnie teraz na szukanie supermena

Ricky nagle przypomniał sobie, że przyszedł do restauracji w towarzystwie kobiety. Przerwał na chwilę rozmowę z Bobem i trącił Temple w ramię. Tym razem o wiele mocniej niż poprzednio.

- Wszystko dobrze, kwiatuszku?

- Dziękuję. Na imię mam Temple.

Ricky przestał zwracać na nią uwagę i odwrócił się do Boba. Rozmawiali o futbolu aż do deseru, kiedy to Bob i Becky zaczęli rozprawiać o remoncie ich starego domu. Ricky zamówił kolejnego drinka

Temple spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Rozmowa przy stoliku znowu dotyczyła futbolu. Pora wracać do domu, pomyślała

- Napij się jeszcze winka, kwiatuszku?

Ricky zamierzał ją znowu trącić w ramię, ale Temple szczęśliwie zdążyła się odsunąć, więc jego pięść zawisła w powietrzu.

- Temple chce wracać do domu - upomniała kuzyna Becky.

- Do...do domu? - Ricky uniósł rękę i zaczął się kiwać nad zegarkiem. - Dopiero...dzie... dziesiąta.

- Aż tak późno? - zdziwiła się Temple. Miała świadomość, że Ricky, pochłonięty topieniem smutków swojej „wrażliwej” duszy, stracił wszelką rachubę czasu. - Naprawdę muszę już iść.

- Jasne! Kelner! Jeszcze szkocką!

Minęła jedenasta, potem dwunasta. Towarzystwo przeniosło się z restauracji do przyległego baru. Temple i Becky siedziały na wysokich stołkach i z podbródkami wspartymi na złożonych dłoniach przysłuchiwały się smętnie piłkarskim opowieściom swoich partnerów. Ekipa sprzątaczy z wiadrami i szczotkami kręciła się między gośćmi.

W pewnej chwili Ricky postanowił zademonstrować jakiś rzut. Wstał z miejsca i chwycił pierwszy z brzegu przedmiot, przypominający mu piłkę. Na nieszczęście była nim torebka Temple. Cisnął

ją w stronę wiernych fanów, którzy także zasiedzieli się w barze. Torebka poszybowała ponad kontuarem i wylądowała w kubie pełnym brudnej wody.

Mężczyźni ryknęli śmiechem.

- Sorry, podanie chybione! - Ricky także się roześmiał. Próbował wgramolić się ponownie na stołek, ale stracił równowagę i upadł prosto na kelnerkę, niosącą tacę z pustymi szklankami.

Temple poderwała się z miejsca, jednak nie zdążyła uniknąć katastrofy. Kelnerka zachwiała się, a resztki piwa z przewróconych szklanek, kawałki cytryny i parasoleczki do ozdoby drinków znalazły się na ubraniu Temple. Dziewczyna chwyciła serwetkę i próbowała osuszyć przód jedwabnej bluzki.

- Praca nóg do bani, kwiatuszku! - zarechotał Ricky przy wtórze zachwyconych wielbicieli.

- Bob, musimy już iść. Opiekunka do dziecka pomyśli, że nas porwano - powiedziała stanowczym tonem Becky.

Kelner przyniósł Temple ociekającą wodą torebkę.

- Dobrze, kochanie. - Bob puścił oko do Ricky'ego. - Pora się zbierać. Mamuśka każe.

Mężczyźni zapłacili rachunek i całe towarzystwo opuściło w końcu restaurację.

- Nie zdążyliśmy pogadać - powiedział Ricky do Temple. Opierając się ciężko na jej barku, prowadził ją do samochodu. - Wpadnij ze mną jeszcze na jednego.

- Przykro mi, jutro z samego rana mam lot.

- Doskonały pomysł - w tym samym momencie poparła Ricky'ego Becky. - Nie mieliście okazji lepiej się poznać.

Temple obrzuciła przyjaciółkę morderczym spojrzeniem, ale Ricky zdążył już zawołać taksówkę.

- Czy mógłbyś odwieźć mnie do domu? - spytała, kiedy otwierał przed nią drzwi auta.

- Jasne. Wypijemy po jednym i wracasz.

- Mam mokre ubranie. W takim stanie nie mogę...

- W jakim stanie? Ślicznie wyglądasz. A zresztą, kto tam cię będzie oglądał. O tej porze bar pusty.

Ricky podał taksówkarzowi nazwę jakiejś nie znanej Temple ulicy i ruszyli.

Ściany niewielkiego koktajlbaru pokryte były autografami piłkarzy. Ricky skinął na barmana. Dochodziła pierwsza w nocy, ale lokal pełen był eks-piłkarzy oraz ich żon lub dziewczyn.

- Co byś chciała? - spytał Ricky, prześlizgując się wzrokiem po tłumie.

Zniknąć stąd jak najprędzej, pomyślała Temple.

- Dziękuję, już nic.

- Szkocką dla mnie - oznajmił Ricky na widok zbliżającej się kelnereczki w skąpych szortach i pantoflach na dziesięciocentymetrowych obcasach.

- Jasne, kochany - mizdrzyła się dziewczyna.

- Ricky! - zawołał jakiś zwalisty, muskularny mężczyzna, torując sobie drogę do ich stolika.

- Buck!

Obaj panowie trącili się barkami na powitanie, przy okazji niemal przewracając mały stolik. Przed upadkiem uchronił go refleks Temple, która zaciskając zęby, przytrzymała stoliczek za blat.

Mężczyźni zajęli się rozmową, kelner przyniósł zamówione drinki. Ricky szybko wychylił swoją szklanę i poprosił o następną. Po chwili dołączył do nich jeszcze jeden kumpel. Teraz już trzech wielkoludów tłoczyło się przy stoliku.

- Chłopaki, to jest... kwiatuszek. - Ricky zachwiał się nieco na krześle. - Stewardesa... jakichś ptasich linii.

- Witaj, kwiatuszku! - zawołali dwaj byli piłkarze.

Chwilę później Temple zerknęła na zegarek. Ricky od dwudziestu minut snuł wspomnienia ze starymi przyjaciółmi z boiska. Wystarczy, uznała.

- Ricky! - spróbowała zwrócić na siebie jego uwagę.

- O co chodzi? - spytał przez ramię.

- Jest późno. Rano mam lot...

- Dobra, poczekaj.

- Słuchaj, muszę już...

- Rozmawiam z przyjaciółmi!

Ricky stanowczo zbyt dużo już wypił i zaczynał być niegrzeczny. W jego mniemaniu Temple przeszkadzała mu w miłym spędzaniu czasu.

- W porządku. Zawołam taksówkę i... Rozmowa przy stoliku ucichła.

- Wypiję jednego i idziemy - powiedział głośno, by przekrzyczeć ryk grającej szafy, i potoczył po sali nieco mętym wzrokiem.

- Chcę iść stąd natychmiast!

- Wstrzymaj się, kwiatuszku. Barman, jednego na drogę!

Temple zrozumiała, że dalsza rozmowa może jedynie sprowokować niepotrzebną scenę. Wstała i ostrożnie ruszyła ku wyjściu. Podpici mężczyźni nawet nie zauważyli jej odejścia. Stojąc w drzwiach baru zobaczyła, jak Ricky wchodzi na stolik i bije się po piersiach w takt wrzasku mechanicznej muzyki.

Sama jesteś sobie winna, skarciła się w duchu. Znowu nie zaufałaś intuicji. Podbiegła do najbliższego całodobowego sklepu.

- Gdzie jest jakiś telefon? - spytała sprzedawcę.

Popatrzył uważnie na jej pochłapaną bluzkę i wskazał dłonią w stronę rogu ulicy.

Zawołałam taksówkę, każę się odwieźć do domu i natychmiast zapomnę o całym incydencie, postanowiła. Kiedy jednak otworzyła torebkę, mina jej zrzedła. Pieniądze zostawiła w domu. Wzięła jedynie trochę drobnych, które w razie nagłej potrzeby miały jej wystarczyć na telefon.

Z rezygnacją wrzuciła monetę do automatu, podniosła słuchawkę i nakręciła numer...

Po trzecim dzwonku odezwał się zaspany głos.

- Stevens.

- Craig, to ja, Temple.

- Ty? Co się stało? - Craig natychmiast zmienił ton. Zacisnęła powieki, by łzy nie pociekły jej po policzkach.

- Zabierz mnie do domu.

Na w pół przebudzony Craig usiadł na łóżku i spojrział na zegarek. Była druga w nocy.

- Gdzie jesteś?

- Nie... nie wiem. Poczekaj, zaraz sprawdzę.

Podawała Craigowi nazwę ulicy, przy której mieścił się całodobowy sklep.

- Co tam porabiasz w środku nocy?
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Dobrze się czujesz?
- Dobrze. Po prostu mnie stąd zabierz.
- Już jadę.

Craig błyskawicznie nałożył dzinsy, wsunął stopy w tenisówki. Chwytał jakiś podkoszulek i wciągając go przez głowę jedną ręką, drugą zamykał już drzwi do mieszkania.

Drogę, która normalnie zajmuje pół godziny, pokonał w niecałe dwadzieścia minut. Zatrzymał lincolna przy krawężniku i wyskoczył na zewnątrz.

Temple czekała tuż przy drzwiach wewnątrz sklepu, blada i wystraszona. Na widok przyjaciela wybiegła na ulicę. Minęła go, wsiadła do samochodu i położyła głowę na oparciu fotela.

Craig zajął miejsce za kierownicą. Popatrzył na nią z niepokojem.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go. - Po prostu odwieź mnie do domu i błagam, nie zadawaj żadnych pytań.

Kiedy mijali bar, który opuściła niecałe pół godziny temu, skuliła się na siedzeniu, by nie dojrzał jej stojący na zewnątrz mężczyzna.

- Gdzie jesteś, kwiatuszku?! - darł się na całą ulicę.
- Znasz go? - spytał sucho Craig.
- Byłam z nim dziś umówiona.
- Rozumiem.

Przed domem Temple Craig zatrzymał się przy krawężniku, nie wyłączając silnika.

- Masz ochotę teraz porozmawiać? - spytał.

Ostrożnie zdjął Temple z czubka głowy przyklepioną do niej podartą papierową parasoleczkę.

Temple nie śmiała spojrzeć przyjacielowi w oczy. Czuła się upokorzona całą sytuacją, a najbardziej faktem, że musiała dzwonić do niego po nocy i prosić o pomoc. Udzielił jej jednak bez pytania. Należało mu się przynajmniej kilka słów wyjaśnienia.

- Becky wyciągnęła mnie na spotkanie ze swoim kuzynem - wyszeptała słabym głosem. - Zabrała męża i poszliśmy we czwórkę na kolację, potem jej kuzyn chciał jeszcze gdzieś porozmawiać, ja protestowałam, ale w końcu uległam, on za dużo wypił, straciłam cierpliwość, wybiegłam z baru i zadzwoniłam do ciebie.

- Co za facet cię w to wrobił?

- Ricky Lawrence.

- Ten piłkarz?

- O Boże, ty też go znasz? - Temple na chwilę przymknęła oczy, zbyt zmęczona, by myśleć o czymkolwiek.

- Przepraszam, czy pozwolisz mi się trochę przespać? - spytał miękko Craig.

Temple otrząsnęła się z drzemki. Wskazówki zegarka na tablicy rozdzielczej pokazywały parę minut po trzeciej. Niewiele czasu pozostało na spanie tej nocy.

- Wybacz. Dzięki, że przyjechałeś. - Temple otworzyła drzwi i wysiadła.

- Odprowadzę cię na górę - zaproponował Craig.

- Nie trzeba...

Nie słuchał dalej, lecz również wysiadł z samochodu i ruszył za nią.

W milczeniu wjechali na piętro. Craig wziął od Temple klucze, otworzył drzwi jej mieszkania, wszedł do środka i zapalił światło.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś? - spytał.

- Nie, wezmę tylko prysznic i idę do łóżka. Jeszcze raz dziękuję.

- Znasz mnie przecież - powiedział łagodnie. - Jestem Zorrem, Supermanem i błędnym rycerzem w jednej osobie. Zawsze gotów spieszyć ci na pomoc. - Popatrzył na jej zniszczoną bluzkę. - Obiecuj tylko, że więcej nie będziesz się pakować w takie głupie sytuacje, zgoda?

- Jestem dużą dziewczynką - szepnęła.

- Martwię się o ciebie.

- Ja o ciebie również - powiedziała, kiedy za Craigiem zamknęły się drzwi.

Po chwili usłyszała dzwonek.

Craig stał na progu. Podał jej pogniecioną parasoleczkę, pochylił się i pocałował ją na dobranoc. Temple zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek.

- Do zobaczenia rano - szepnął i tym razem naprawdę poszedł.

- Temple, fantastycznie wyglądasz! - usłyszała tydzień później. W progu jej mieszkania stała Nancy, atrakcyjna jak zawsze.

Minione lata ani trochę jej nie zmieniły. Nadal była szczupłą, wysportowaną i pięknie opaloną.

- Wiem, że zaprosiłaś mnie do siebie, ale wynajęłam pokój w hotelu - mówiła, wchodząc do środka. Rzuciła torebkę na kanapę. - Nie chciałam ci przeszkadzać.

- Ty miałabyś mi przeszkadzać, głuptasie? Bardzo bym się ucieszyła, gdybyś u mnie zamieszkała.

Dwie kobiety uściskały się serdecznie.

- Dawno się nie widziałyśmy - zauważyła Nancy.

- Masz rację.

Przeszły na balkon i usiadły, by napić się kawy.

- Co u ciebie słysząc? - zagała Nancy.

- Nic ciekawego. Praca, praca, i tak w kółko.

Gwarzyły przez jakiś czas, aż w końcu padło nieuniknione pytanie.

- Jak tam Craig? Nadal taki przystojny?

- Nadal. - Temple ogarnęło lekkie poczucie winy.

Nagle wpadła jej do głowy pewna myśl. Nancy zawsze pytała o Craiga, ale nie widzieli się od czasu, gdy wyjechał z Wirginii. Co by się stało, gdyby ich razem zetknąć? Mogła przecież zaaranżować niewinne spotkanie.

Wchodzisz na niebezpieczny grunt, ostrzegła samą siebie. Musiała się jednak dowiedzieć, czy między nimi ciągle coś iskrzy. Choćby ją to miało głęboko zranić.

- Nie miałam pojęcia, że ta meksykańska knajpka jeszcze istnieje - zdumiała się Nancy tego samego wieczoru.

Znajdowały się w niewielkiej restauracji, stylizowanej na hacjendę. Wnętrze oświetlały stojące na stołach świece i kinkiety z giętego metalu, wiszące na ścianach. Sufit lada chwila mógł runąć klientom na głowę, ale jedzenie było znakomite.

- Dawno powinni to zamknąć - roześmiała się Nancy.

- Powinni - zgodziła się Temple - jednak nigdzie tak dobrze nie karmią.

Nancy przejrzała kartę i uśmiechnęła się szeroko.

- No to wcinajmy.
- Jestem gotowa
- Wybieram tortillę z podsmażaną fasolą i ryżem. Trzy sztuki. -

Nancy odłożyła na bok kartę dań.

- Dla mnie to samo. - Temple miała nadzieję, że znajdzie w domowej apteczce jakieś środki na wątrobę.

- Świetnie wyglądasz. - Nancy uważnie przyjrzała się przyjaciółce. - Jest na horyzoncie jakiś ciekawy facet?

Temple z uśmiechem pokręciła głową.

- Ja poznałam... O rany! - Nancy wyprostowała się nagle. - To niemożliwe! Przecież to Craig.

Wstała z miejsca, by zwrócić na siebie uwagę dawnego kochanka. Temple pragnęła zapaść się pod ziemię. Wystawiała biednego przyjaciela jak owcę na rzeź.

- Craig! Chodź tutaj! - krzyczała Nancy. - Nawet mi się nie śniło, że mogę ot, tak go spotkać.

Temple doskonale wiedziała, że w każdy piątkowy wieczór przyjaciel wpada tu na kolację. Kiedy Craig podszedł do nich, unikała jego spojrzenia jak ognia.

- Co za niespodzianka. Nancy... - zamilkł na chwilę, przesywając wzrokiem swoją przyjaciółkę - i Temple.

- Ale spotkanie - mruknęła winowajczyni.

Sięgnęła po placuszek, zanurzyła go w ostrym sosie i ugryzła kawałek. Zapiekło jak diabli, więc czym prędzej wypila potężny łyk wody.

Craig wyraźnie był zażenowany całą sytuacją, tymczasem Nancy bardzo się cieszyła ze spotkania.

- Nie do wiary! Tak dawno cię nie widziałam - ćwierkotała.

- Minęło chyba z pięć lat? - Craig uśmiechnął się lekko. Temple zerknęła na niego ukradkiem i zobaczyła, jak nieznacznie zaciska usta.

- Pewnie się z kimś umówiłeś - ciągnęła Nancy - ale zostań z nami przez chwilę, zgoda? Dowiadywałam się o ciebie u Temple.

- Naprawdę? - Craig odsunął krzesło i usiadł przy stole.

- Świetnie wyglądasz. - W oczach Nancy lśnił niekłamany podziw. - Jak ci leci?

- Dobrze. A tobie?

- Wspaniale. - Nancy ścisnęła Craiga za ramię. - Tak się cieszę, że wpadliśmy na siebie.

- Doprawdy? - Craig spojrzał w tym momencie na Temple.

- Jasne. - Nancy przysunęła się bliżej. - Chciałabym cię przeprosić.

- Przeprosić? - zdziwił się Craig.

- Właśnie. Wiesz, jaka byłam przygnębiona, kiedy Craig zerwał naszą znajomość - zwróciła się do Temple.

Teraz oboje poczuli się nieswojo. Temple miała nadzieję, że Nancy nie urządzi sceny. Nie powinna zmarnować powtórnej szansy odnowienia stosunków z dawnym ukochanym.

- Nie wiesz jednak, jak upiornie się wtedy zachowałam - ciągnęła Nancy.

- To nie moja sprawa - mruknęła Temple.

- Nancy - ostrzegł Craig - nie warto wracać do...

- Naprawdę mi na tym zależy. Dręczą mnie wyrzuty sumienia z powodu tych głupich rzeczy, które narobiłam.

- Na przykład? - spytała Temple.

- Opryskałam mu meble śmierdzącym sprayem... - Nancy wzruszyła ramionami. - Wydało mi się to adekwatne do tego, co mi zrobił i jak się

wtedy czułam. - Uśmiechnęła się. - Ale to nie uleczyło mojej zranionej dumy, więc rozgniotłam banany w kabinie jego samochodu. Nieco pomogło - przyznała.

- Temperatura w moim fordzie dochodziła do pięćdziesięciu stopni! - krzyknął Craig.

- Wiem o tym. W przeciwnym razie po co miałabym rozgniatać banany? Zemsta to zemsta, nawet jeśli głupia.

Temple nie wiedziała, co powiedzieć. Craig omijał ją wzrokiem. Nie miała pojęcia, że zerwanie ich przyjaźni odbyło się w tak nieelegancki sposób. Craig nie powiedział na ten temat ani słowa.

- Byłam potwornie wściekła - opowiadała Nancy. - Ciągłe wydzwaniałam do ciebie, bo nie umiałam cię puścić. Teraz wiem, że miałeś rację. Nasz związek był bez szans i jestem ci wdzięczna, że potrafiłeś to przewidzieć.

- Mam nadzieję, że naprawdę tak uważasz, Nancy. - Craig popatrzył jej głęboko w oczy.

- Naprawdę, przysięgam. Powiedziałabym ci to wcześniej, ale byłam pewna, że nie zechcesz mnie widzieć.

- Nancy, podczas każdej rozmowy pytałaś o niego... - Temple była wyraźnie zdziwiona. - Jakbyś ciągle go kochała. Słyszałam to w twoim głosie.

- Pewnie masz rację. - Nancy roześmiała się szczerze i popatrzyła na Craiga - Zawsze w jakiś sposób będę cię kochać, lotniku, ale czas nie stanął dla mnie w miejscu. Moje życie jest tak pełne, że nie rozpaczam nad straconą miłością. Zmądrzałam, Craig. Dzięki tobie w końcu dorosłam. Miałaś odwagę zerwać znajomość, która do niczego dobrego by nie

doprowadziła. Poznałam potem wspaniałego mężczyznę. Niedługo zamierzamy się pobrać.

- Dlaczego więc w każdym liście dopytywałaś się o Craiga? - spytała Temple.

- Bo chciałam mieć pewność, że dobrze mu się wiedzie. Jestem szczęśliwa, Craig - ponownie zwróciła się do niego. - I w dużej mierze zawdzięczam to tobie. Dlatego pragnę, żeby i tobie się udało.

- To wspaniale - wykrztusiła Temple, zaskoczona biegiem wypadków.

- Przebaczysz mi, Craig?

- Jeśli kiedykolwiek zbliżysz się do mojego samochodu z bananem...

- Nigdy, przysięgam.

Craig pochylił się i lekko pocałował Nancy w usta. Kiedy przywarła do niego mocniej, odsunął się i pogroził jej żartobliwie. Wstał od stolika.

- Z tobą porozmawiam później. - Wycelował palcem w Temple.

- Dziękuję, kochana - odezwała się Nancy, kiedy Craig oddalił się na znaczną odległość.

- Za co?

- Że zaaranżowałaś to spotkanie.

- Skąd ci przyszło do głowy...

- Nie jesteś dobrym graczem. Musisz się z tym pogodzić. Naprawdę nigdy ci nie wspomniał o tym, co zrobiłam?

- Ani słowem.

- Zbyt duży z niego dżentelmen, by prac publicznie swoje brudy - westchnęła Nancy.

Mnie jednak mógł powiedzieć. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, pomyślała Temple. Powinien był to zrobić.

- To wspaniały facet - ciągnęła Nancy. - Sama bym ci wszystko opowiedziała, ale czułam się zbyt zakłopotana. Zawsze żałowałam, że między nami nie ułożyło się inaczej, ale tak się stało i kwita. Byłam niedojrzałą, zepsutą pannicą, a Craig nie zamierzał mnie wychowywać. Miał rację, że ze mną zerwał. Lepiej, że wtedy, niż miałby to zrobić parę lat później. - Nancy wzięła do ręki kartę. - Zgłodniałam po tej spowiedzi. Co by tu zjeść na deser? Coś bardzo kalorycznego i niezdrowego...

Temple nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w menu. Ciągłe kręciło jej się w głowie po tym, czego się dowiedziała.

Jeden z powodów, dla których nie chciała zakochać się w Craigu, przestał istnieć. Wobec tego - co dalej?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Kto cię tak załatwił? - Ginny wybuchnęła śmiechem, stawiając przed Craigiem i Scottym zamówione napoje.

Craig zerknął do lustra wiszącego za bufetem i popatrzył na swoją twarz, którą ozdabiał wielki fioletowy siniak pod lewym okiem.

- Dawna narzeczona z Wirginii w końcu cię wytropiła? - Scotty otworzył puszkę z wodą sodową i napełnił nią szklanę.

- Rzeczywiście wytropiła. - Przez wiele lat skutecznie unikałem Nancy, a teraz Temple unika mnie, pomyślał. - Ale siniak zawdzięczam jeździe na łyżworolkach.

- Co ci przyszło do głowy? - zaśmiał się Scotty.

- Celia uwielbia ten sport.

- Ta wysoka, dobrze zbudowana blondynka, z którą umówił cię Pete?
- Nie zauważyłem, jak była zbudowana, może dlatego, że podczas naszego spotkania przez dwie godziny leżałem na plecach.

- Ciekawe... - Ginny zaśmiała się szatańsko.

- Rozciągnięty jak długi - uściślił Craig. - Tłumaczyłem jej, że nie umiem jeździć na łyżworolkach, ale ona się uparła. Twierdziła, że facet o tak wysportowanej sylwetce jak ja nie może mieć z tym żadnych problemów.

- Przekonałeś ją, że się myliła.

- Oj, tak. - Ostrożnie dotknął policzka, krzywiąc się z bólu, po czym opowiedział przyjacielom o swojej nieszczęsnej przygodzie.

Celia była piękną kobietą o długich, opalonych nogach i promiennym uśmiechu. Spotkali się w niedzielę w parku pełnym miłośników weekendowego uprawiania sportów. Craig nigdy do nich nie należał. Owszem, interesował go baseball i piłka nożna, ale raczej jako kibica niż gracza. Celia była jednak entuzjastką ruchu na świeżym powietrzu i tak długo przekonywała Craiga, aż w końcu zgodził się nałożyć rolki.

Podczas pierwszej próby jazdy nogi uciekły mu do tyłu i wylądował na drzewie. Celia wybuchnęła śmiechem, pomogła mu wstać i powiedziała, żeby się nie zniechęcał.

- Skoro potrafisz chodzić, dasz radę pojechać - oznajmiła.

Craig w tym momencie nie był pewien, czy jest zdolny nawet zrobić krok.

Celia chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą. Ludzie przyglądali się ich zmaganiom, ale na wszelki wypadek robili to z pewnej odległości.

- No, dalej - dodawała mu odwagi Celia. - Trzymaj się mnie. Teraz już honor nie pozwolił mu się poddać. Wyprostował się, przejechał parę

metrów, po czym jak długi runął na ziemię, tym razem pociągając za sobą swoją instruktorkę. Roześmiała się tylko, znowu pomogła mu wstać i pojechali dalej.

Szło mu coraz lepiej. Zanim się zorientował, pędził już w dół parkowego stoku i z każdą chwilą nabierał prędkości. Wiatr bił go po oczach i Craig zastanawiał się, co jest gorsze: ten szalony pęd, poprzedzający upadek, czy też moment, kiedy runie się na ziemię. Przeczuwał, że wkrótce to nastąpi.

- Doskonale! - krzyczała Celia. - Chwyciłeś, o co chodzi! Rzeczywiście tak było! W tej chwili poczuł się wspaniale. Nagle przestał kontrolować szybkość. Stopy pojechały do przodu.

Tuż potem wyrosły przed nim niespodziewanie dwa duże drzewa... Ocknął się na wózku w szpitalnej izbie przyjęć. Czuł, że wszystkie kości ma pogruchotane.

- Proszę się nie ruszać, panie Stevens - poleciła lekarka. Craig jęknął głucho.

- Ile żeber mam połamanych? - Do licha, przez wiele tygodni nie będę mógł pracować, zaklął w duchu.

- Miał pan dużo szczęścia. Tylko kilka siniaków i zdarć naskórka. No i podbite oko. Przepiszę środki przeciwbólowe i może pan wracać do domu.

- Po tej historii doszedłem do wniosku - zakończył Craig - że gdyby Bóg życzył sobie, abym miał na nogach kółka, sam by je stworzył.

Ginny, która przecierała ladę, przerwała nagle zajęcie i pomachała komuś za ich plecami.

- Przyszła Temple - powiedziała.

- Aha - mruknął Craig.

- Ona nie cierpi sportu.

Craig z ponurą miną wpatrywał się w szklanekę z wodą sodową. Niedługo minie tydzień, odkąd Temple zaczęła odzywać się do niego wyłącznie monosylabami i to tylko wtedy, kiedy przynosiła kawę do kabiny pilotów. Zdawał sobie sprawę, dlaczego go unika. Chodziło o tę noc w Houston. Nawet się nie przyznała, że cokolwiek pamięta. Nie mogła jednak omijać go w nieskończoność. W końcu będą musieli porozmawiać.

Craig i Scotty kontrolowali przyrządy pokładowe przed startem, kiedy w kabinie pilotów pojawiła się Temple z dwoma kubkami kawy na tacy. Wyglądała ładniej niż kiedykolwiek. Wypoczętą twarz okalały francuskie loki, czapkę miała zawadiacko nasuniętą na prawą stronę głowy, pachniała wanilią.

- Cześć, chłopaki - pozdrowiła ich wesoło.

- Witaj. - Scotty sięgnął do podręcznej torby. - Mam dla ciebie prezent ode mnie i kapitana.

- Z jakiejż to okazji?

- Z takiej, że jesteś kimś wyjątkowym.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się niepewnie.

Nie patrząc na Craiga, otworzyła małe pudełeczko, które wręczył jej Scotty. W środku była zapinka z wygrawerowanym wielkimi literami napisem: Skarb.

- Co to jest?

Scotty zrobił zagadkową minę.

- Twoje imię, prawda? Wszyscy tak do ciebie mówią.,, Skarbie, czy mogłabyś mi przynieść jeszcze trochę kawy? Skarbie, zajmij się moim bagażem".

- Masz rację. - Uśmiechnęła się. - Dziękuję. Z dumą będę nosić ten klejnot.

Wpięła zapinkę w kieszonkę uniformu, tam, gdzie nosi się identyfikator.

Nagle Craig zdecydowanym ruchem odłożył na bok notatnik.

- Scotty, czy mógłbyś się czymś zająć przez chwilę? Chciałbym zamienić parę słów z Temple.

Drugi pilot wyszedł z kabiny, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Co się dzieje? - spytała z niepokojem Temple.

- To samo pytanie chciałem zadać tobie.

- Jeśli chodzi ci o Nancy...

- To nie ma z nią nic wspólnego. Chodzi o nas. Nie możemy dłużej unikać się nawzajem.

Temple spuściła głowę. Miał rację. Nie mogli mijać się w nieskończoność, choć bardzo się o to starała. Wciąż nie była gotowa rozmawiać o tym, co zdarzyło się w Houston.

Craig milczał, więc w końcu spojrzała mu w oczy.

- Dziś wieczorem spotykamy się o siódmej na kolacji u „Kiefa” - oznajmił stanowczo.

Tego się nie spodziewała. Z wahaniem ruszyła do drzwi.

- Tylko nie wystaw mnie do wiatru - ostrzegł Craig, nim opuściłaabinę.

- Wszystko w porządku? - spytał ją Scotty. Z rezygnacją machnęła ręką.

Przez cały dzień chodziła jak ogłuszona. Podawała pasażerom nie te przekąski, o które prosili, nastąpiła na nogę pewnej starszej pani i wylała w kuchence pełen dzbanek kawy.

Po odprawie ruszyła na parking do swojego pikapa. Przystanęła na widok lincolna Craiga zaparkowanego równiutko między liniami.

Wszystko się między nami zmieniło, zaszlochała bezgłośnie. Wszystko, co było wspaniałe. Skończyło się poczucie bezpieczeństwa, zaufanie, nawet wyścigi na parkingu. Przepadło na zawsze.

Wieczorem w środku tygodnia u „Kiefa” było spokojnie. Craig i Temple zajęli miejsca w łoży, z dala od kuchennych hałasów. W napięciu przeglądali kartę dań i składali zamówienia. Craig odetchnął z ulgą, kiedy kelner odszedł w końcu od ich stolika. Podparł twarz łokciami i popatrzył przeciągle na Temple. Odwzajemniła mu się podobnym spojrzeniem. Sama przed sobą nie chciała przyznać, jak bardzo jej się podobał w niebieskiej koszuli i granatowym blezerze.

- Oczekiwałem, że przynajmniej do mnie zadzwonisz - powiedział Craig.

Temple w milczeniu wpatrywała się w szklanekę z wodą. Bała się, że głos mógłby ją zawieść.

- No dobrze, miejmy to za sobą. Co cię dręczy? - spytał Craig.

- Nic - odparła krótko.

- Przecież widzę, że coś jest nie tak - upierał się. - Nie jestem ślepy.

Przez cały tydzień powiedziałaś do mnie może ze trzy słowa, które nie byłyby związane z pracą.

- Głupstwa opowiadasz. Ponosi cię wyobraźnia.

- Twoje prawidłowe parkowanie w minionym tygodniu też jest wytworem mojej wyobraźni? Przestałaś się ze mną droczyć.

- Nieprawda! Ty pierwszy zacząłeś właściwie parkować, nie ja,

- Tylko dlatego, że mi to umożliwiłaś.

- Craig, jeśli kiedykolwiek źle parkowałam, nie robiłam tego celowo.
- Moim zdaniem chodzi o coś innego.

Przypatrywał jej się przez długą chwilę. Jeszcze trochę, a wybuchnęłaby płaczem.

- N-nie wiem, co się między nami popsło - wyjąkała.
- Ja również. Bardzo mi ciebie brak - powiedział ciepło.
- Mnie ciebie też - szepnęła. Zapadła długa cisza.
- Opowiedz mi o Nancy - poprosił.

Temple oczekiwała tego pytania, jednakże nie złagodziło to uczucia zazdrości i zakłopotania.

- Czego chcesz się dowiedzieć?
- Co porabiała w mieście?
- Podobno zjawiała się tu w interesach.
- Mówiła, że w ciągu tych lat utrzymywałyście ze sobą kontakt.

Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

- Nie o wszystkim ci opowiadam - wykrztusiła Temple.
- Nie sądzisz, że może o czymś chciałbym wiedzieć? Temple z przesadną uwagą obserwowała kroplę wody, spływającą po szklance.
- Myślałam, że... że rozmowa o Nancy byłaby dla ciebie zbyt bolesna
Nigdy nie wspomniałeś o niej ani słowem...

Craig świadomie nie przerywał przedłużającego się milczenia.

- Byłaś pewna, że ciągle darzę ją uczuciem - powiedział w końcu.
- Tak.
- Sądziłem, że oboje mamy do siebie zaufanie...
- Ależ ja ci ufam! - zawołała zdziwiona tą uwagą Temple.
- Wobec tego, jeśli chcesz mi zadać jakieś pytania, na przykład dotyczące moich uczuć, po prostu to zrób. Zrozumiałaś?

- Tak. - Poczula się w tym momencie jak ostatnia idiotka.
 - Żeby już wyjaśnić fakty związane z przeszłością: wiedziałem, że mój związek z Nancy nie ma szans. Chcesz jeszcze o coś spytać?
 - Nie.
 - Na pewno? Chyba między nami jest wiele niedopowiedzeń.
 - Nie mam żadnych pytań.
- Teraz przyszła kolej na Craiga. Zaczerpnął głęboki oddech.
- Wiele myślałem o tym, co zdarzyło się tamtej nocy w Houston. Jeśli chcesz znać moje zdanie, i tak stało się to zbyt późno.
 - Przeraziło mnie to, Craig. - Temple machinalnie obracała w dłoniach szklanke. - Ostatnio miałam dziwne sny... Byłeś w nich ty... i ja.
 - No i co z tego? Mnie śniło się to samo.
 - Naprawdę?
 - Temple, czy mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego to, co zaszło między nami, tak bardzo cię dręczy? Nie było ci dobrze?
 - Oczywiście, że było. Było... wspaniale, ale od tamtej nocy wszystko się między nami zmieniło.
 - Nieprawda - zaprotestował Craig.
 - Nie chcę stracić naszej przyjaźni - przyznała spokojnie Temple.
 - Ja również - odparł z powagą Craig.
- Temple ułożyła prosto sztucce, wygładziła serwetkę.
- Zapomnijmy o tamtej nocy - zaproponowała. Spojrzała ukradkiem na Craiga. Czyżby dojrzała na jego twarzy cień rozczarowania? A może była to ulga? - Wszystko zależy od nas. Jeśli uznamy incydent za niebyły, znowu będziemy przyjaciółmi.
 - Naprawdę tylko tego chcesz?
 - To jedyny sposób, by wróciły dawne dobre czasy.

Craig siedział w milczeniu i rozważał propozycję Temple. To ona jednak przerwała ciszę.

- Wiesz, nawet gdybym chciała, żeby nasze relacje się zmieniły, rozumiesz przecież, że to niemożliwe. - Uniosła szklanę.

- Za naszą przyjaźń - powiedziała niedbałym tonem.

- Za naszą przyjaźń - powtórzył Craig.

Zjedli kolację, rozmawiając niemal tak swobodnie, jak dawniej.

Craig opowiedział Temple o swojej randce z Celią, a ona jemu o spotkaniu z Brianem. Śmiali się i żartowali przez cały wieczór.

- Obiecuj mi - poprosił trochę później - że już nigdy więcej nie będziesz mi organizowała żadnych randek. Mam dość tej karuzeli spotkań.

- Jesteś pewien?

- Jak niczego w życiu. Sam poszukam partnerki. Jeśli kiedykolwiek znowu źle trafie, będę miał pretensję wyłącznie do siebie.

- Wiesz, że mną jest podobnie. Historia z Rickim zniechęciła mnie skutecznie do eksperymentów.

- Mam nadzieję.

- Nie chciałam wtedy iść na żadne spotkanie, ale bezwolnie uległam namowom. Powinnam bardziej ufać swojej intuicji. Od tej pory zamierzam to robić.

Tym razem Craig wznosił szklanę.

- Na pohybel randkom w ciemno!

- Brawo!

- Po naszym spotkaniu od razu poprawił mi się humor - przyznał Craig, kiedy odprowadzał Temple do samochodu.

- Cieszę się, że nasze stosunki wracają do normy.

- Ja również. - Craig pochylił się i lekko dotknął ustami jej warg. Na chwilę świat zawirował jej przed oczyma. Przytuliła się do

Craiga coraz mocniej i mocniej. To nie ma nic wspólnego z przyjaźnią, pomyślała.

Craig położył jej dłonie na biodrach i przyciągnął ją do siebie. Temple poczuła, jak silnie na niego działa. On wywierał na niej podobne wrażenie. Wiedziała, że albo przerwie to od razu, albo nigdy.

- Muszę już iść - szepnęła, odsuwając się gwałtownie.

- Ja też. - Craig odetchnął głęboko i przeczesał palcami włosy. W drodze do domu Temple zrozumiała, że mimo najszczerzych chęci jej relacje z Craigem już nigdy nie będą takie jak dawniej.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W następnym tygodniu Silverado każdego dnia stawał prosto na linii oddzielającej dwa stanowiska parkingowe, w związku z czym Craig musiał się niezłe namęczyć, by wcisnąć swojego lincolna. Przynajmniej tyle wróciło do normy. Jednakże Temple nadal go unikała.

W czwartek wszedł do służbowego barku i z chmurną miną rozejrzał się dokoła. Wiedział, że Temple przyjechała tutaj co najmniej godzinę temu, gdyż chwilę wcześniej dotknął na parkingu maski jej samochodu. Była zimna.

- Czym się martwisz? - spytał Scotty.

- Niczym szczególnym. - Craig wypił spory łyk kawy.

- Chodzi o Temple?

Craig tylko wzruszył ramionami i z uporem wpatrywał się w kubek z kawą.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie teraz.

- W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

Scotty poklepał przyjaciela po ramieniu i poszedł załatwiać jakieś swoje sprawy. Kiedy parę minut później nadeszła Temple, Craig siedział pogrążony w myślach nad kubkiem ze stygnącą kawą.

- Cześć - pozdrowiła go. - Co robisz dziś wieczorem?

- Nic specjalnego. A ty?

- Lecę zamiast Janeanne do Chicago. Czy Susan dzwoniła już do ciebie?

- Umawialiśmy się, że koniec z takimi randkami! Zapomniałaś?

- Pamiętam, ale znalazłam się w kropce. Kiedyś rozmawiałam z Susan o... że poznam was ze sobą. Wczoraj przyparła mnie do muru, nalegając, żeby to było dziś wieczorem.

- Nie i już!

Temple naląła sobie pół kubka kawy i popijała ją powoli.

- Stanowcze nie, czy też dasz się przekonać?

Craig zaklął pod nosem. Temple najwyraźniej nie była jeszcze gotowa, by to, co jest między nimi, jakkolwiek by to nazwać, miało szansę się rozwinąć.

- Jak wygląda ta Susan? - spytał z westchnieniem.

Susan okazała się wystrzałowa. Była wysoką blondynką z poczuciem humoru i wspaniałymi nogami. Naprawdę starała się być miłą. Craig nie

zamierzał wysilać się na rozmowę, więc ona przejęła na siebie cały ciężar konwersacji.

Próbował się skupić na tym, co mówiła, ale niezupełnie mu się to udawało. Myślni był przy Temple. Leciała do Chicago, a na środkowym zachodzie zapowiadano zimny front. Znajdowała się na pokładzie dwusilnikowego turbośmigłowca francuskiej produkcji, przystosowanego do lotów na krótkich dystansach. Ostatnio miał kłopoty podczas oblodzenia. Dyskutowano, czy może lądować mimo nie sprzyjających warunków atmosferycznych.

Nie ma się czym przejmować, uspokajał sam siebie. Temple zakończy pracę przed północą, a pogorszenia pogody należy się spodziewać nie wcześniej niż nad ranem. Maszyną kieruje doświadczony pilot. Od kiedy to przeżywa fakt, że Temple jest w powietrzu?

- Kolacja była wspaniała - powiedziała Susan. - Czy to wasza ulubiona restauracja?

Craig skierował uwagę na towarzyszącą mu tego wieczoru kobietę. Susan naprawdę była piękna i inteligentna. Pracowała dla dwóch najlepszych adwokatów w mieście. Wieczór okazał się udany, dlaczego więc najchętniej już by go zakończył?

- Mówisz o „Ptasim Gniazdku”? Temple ją wyszukała, ma słabość do żeberek, które tu podają.

- Od dawna się znacie? - Susan pochyliła się nad stołem i z ciekawością wpatrywała się w Craiga wyrazistymi, zielonymi oczami.

- Tak. - Powędrował spojrzeniem za okno, śledząc płynące nisko na niebie gęste chmury.

Przestań się o nią martwić, upominał siebie w duchu. Wszystko jest w porządku.

Dwie godziny później zapłacił rachunek i zaproponował Susan, która przyjechała do restauracji taksówką, że odwiezie ją do domu. Potem zamierzał iść poćwiczyć. Wieczór naprawdę był miły. Po raz pierwszy od miesiący randka nie okazała się niewypałem. Temple się ucieszy, kiedy jej o tym powie.

Na widok lincolna Susan zapiszczała z zachwytem.

- Jaki wspaniały wóz! Mogę poprowadzić? Uwielbiam te duże, luksusowe samochody.

Zaskoczyła go ta prośba, ale po chwili wahania zgodził się i zajął miejsce pasażera.

Odjechali od krawężnika i Susan płynnie włączyła się do ruchu. Szło jej nieźle. Wyraźnie wiedziała, co robi. Craig odetchnął z ulgą i odprężył się. Wskazówka na liczniku zbliżała się do stu, kiedy nagle Susan zbczyła na przeciwny pas ruchu, prosto pod nadjeżdżający z przeciwka samochód.

Craig gwałtownie chwycił za kierownicę. Samochód ostro skręcił w bok.

- Co ty wyrabiasz?! - krzyknął, dusząc w ustach przekleństwo. Susan nic nie odpowiedziała, tylko dodała gazu.

Craig chwycił ją za ramię.

- Co ty wyprawiasz? - powtórzył głośno. - Patrz na drogę.

- Przepraszam. - Susan wzruszyła ramionami i skupiła się na jeździe.

- Nic się nie stało - mruknął. - Każdy ma prawo popełnić błąd.

Przejechali około dziesięciu kilometrów, po czym Susan wykreciła ten sam numer. Jedynie szybkie mruganie reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki z przyczepą uratowało ich przed czołowym zderzeniem. Silnik lincolna ryczał jak odrzutowiec, kiedy mknęli nadal środkiem jezdni.

- Co ty robisz, kobieto?! - wrzasnął ponownie Craig.

- O co chodzi? - Susan popatrzyła na Craiga bezmyślnie.
- Pozabijasz nas oboje! Zjedź na swój pas! - Spojrzał w bok i zauważył miejsce awaryjnego postoju. - Zatrzymaj się tu - polecił, Miał już kompletnie dość.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał, kiedy samochód stanął. - Nagłe wjeżdżanie na przeciwny pas to samobójstwo!

- Nie mam pojęcia. - Susan miała zakłopotaną minę. - Przepraszam. Chyba się zamyśliłam.

- Chcesz, żebym teraz ja poprowadził?

- Nie, dam sobie radę.

- W porządku. Tylko uważaj.

Susan obniżyła wsteczne lusterko i sprawdziła, czy ma umalowane wargi.

- Masz ochotę na seks? - spytała nieoczekiwanie. Craig zrobił głupią minę. Tego się nie spodziewał.

- No i co? - ponagliła Susan, przeciągając szminką po wargach.

- No... nie myślałem o tym. - Zastanowił się i doszedł do wniosku, że zupełnie nie ma ochoty. W każdym razie nie z Susan.

- Jestem chętna.

- Ruszajmy - powiedział.

- Lubię łańcuchy i kajdany - poinformowała go.

- Co?

Susan ustawiła wsteczne lusterko, włączyła się do ruchu, po czym wjechała na autostradę.

- Masz jakieś fetysze? - drażyła. - Na przykład: podniecają cię stopy?

Craig zaczął się rozglądać za najbliższym zjazdem.

- Skręć tutaj - polecił.

Posłuchała natychmiast i tak gwałtownie szarpnęła kierownicą, że Craig omal nie wybił głową szyby. Zbliżali się do skrzyżowania z sygnalizacją świetlną. Susan dodała gazu.

- Uważaj, czerwone światło! - zawołał.

- Zdażę! - odkrzyknęła i jak pocisk pomknęła przez skrzyżowanie.

Craig zobaczył przed oczami całe dotychczasowe życie.

- Stój! - wrzasnął.

Susan z całej siły depnęła po hamulcach. Poszarzały na twarzy Craig zaparł się rękami o deskę rozdzielczą. Pot spływał mu po skroni.

- Dlaczego to zrobiłaś? Spojrzała na niego z niewinną miną.

- Przecież kazałeś mi skręcić.

- Czy ty nosisz okulary? - spytał.

- Tak, ale nie podczas jazdy. Trzeba mi było powiedzieć, że jesteś nerwowy. Teraz pojedę wolniej.

Resztę drogi do swojego domu przebyła w takim tempie, że kierowcy wszystkich samochodów błyskali światłami i trąbili, mijając ich po obu stronach.

- Wejdiesz na górę? - spytała, kiedy w końcu dojechali na miejsce.

- Raczej nie.

Była to ostatnia rzecz, na jaką miałby ochotę.

Pół godziny później otwierał już drzwi do swojego mieszkania.

Cisnął klucze na stolik do kawy i zauważył mrugające światelko automatycznej sekretarki. Nacisnął przycisk odtwarzania.

- Jeśli jesteś, podejdź do telefonu - usłyszał głos Scotty'ego.

Przyjaciel musiał przerwać na chwilę, gdyż w słuchawce panowała cisza. - Jak by ci tu powiedzieć... Temple znalazła się w trudnej sytuacji. Wiesz, że poleciała za Janeanne do Chicago. Pogoda pogorszyła się tam wcześniej,

niż się spodziewali. Mają kłopoty. Byłem pewien, że chciałbyś o tym wiedzieć. Jestem na wieży i śledzę bieg wypadków. Mam nadzieję, że zanim dotrzesz do domu, będzie już po wszystkim.

Craig poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Obrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem do drzwi. Parę minut później pędził już w stronę lotniska.

- Co się dzieje? - spytał Scotty'ego, którego spotkał przy wejściu na wieżę. Wewnątrz trzech mężczyźni zgromadzili się wokół stołu. Czwarty rozmawiał przez telefon.

- Samolot Temple krąży nad Chicago. - W głosie Scotty'ego brzmiała napięcie. - Jest duży ruch i muszą czekać w kolejce. Z tuzin samolotów próbuje wylądować, póki to jeszcze możliwe.

Craig wbiegł na wieżę i dołączył do mężczyzn zebranych przy pulpicie. Słyszał głos dochodzący z mikrofonu.

- Co tu robisz, Stevens? - zapytał jeden ze starszych oficerów, odwracając się w jego stronę.

Członkom załóg nie wolno przebywać na wieży, ale tym razem zrobiono wyjątek. Craig był wysoko kwalifikowanym pilotem i w tej sytuacji jego doświadczenie mogło się przydać.

- Macie kontakt z samolotem? - spytał oficera.

- Tak - odparł mężczyzna. - Temple jest na linii. Craig pochylił się do mikrofonu.

- Słyszysz mnie? - odezwał się.

- Craig? Jak się cieszę, że jesteś.

Usiadł, blokując innym dojsście. Nie docierało do niego nic poza tym, że słyszy strach w głosie Temple.

- Co się dzieje, kochana?

- Nie jest dobrze.
- Jak ty się czujesz?
- Jak... jak indyk przed Świętem Dziękczynienia.

Craig uśmiechnął się lekko. Zrozumiał, jak bardzo Temple się stara, by nie słyszał przerażenia w jej głosie.

- Śledzimy tutaj, co się dzieje - powiedział. - Kto jest waszym kapitanem?

- Dave DeCosta.
- Ile osób na pokładzie?
- Sześćdziesięciu czterech pasażerów i czterech członków załogi.

Mówiła cicho, niepewnie, ze strachem.

- Jesteś w dobrych rękach - zapewnił ją. - Dave zna się na rzeczy. U ciebie wszystko w porządku?

- Jestem... trochę zdenerwowana. Czekamy na lądowanie na... dwóch i pół tysiącach metrów.

Kontroler ruchu lotniczego pochylił się w stronę Craiga i zaczął mu przekazywać informacje wprost do ucha, by Temple nie mogła usłyszeć.

- Prędkość wiatru dochodzi w porywach do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Temperatura na ziemi około zera i ciągle spada. Deszcz zamienia się w marznącą mżawkę. Pół godziny wcześniej wszystko poszłoby im gładko. Zimny front przyszedł wcześniej, niż oczekiwano. Wiele samolotów utknęło w powietrzu. Ci z wieży w Chicago próbują po kolei sprowadzać je na dół, DeCosta jest ostatni w kolejce.

- Co mówi O'Hare?

- Nie wiedzą, w co ręce włożyć - odparł oficer. - Ze trzy centymetry lodu, a ciągle pada. Nie nadążają z oczyszczaniem pasów startowych.

Niech to cholerstwo jak najszybciej ustanie.

- Craig? Jesteś tam? - spytała Temple drżącym głosem. Musiała bać się jak diabli.

- Jestem - odparł.

- Cieszę się. Zawsze byłeś tam, gdzie trzeba i kiedy trzeba. -

Niebezpiecznie wysokie tony drgały w jej głosie. - Wiem, że... często nadużywałam twojej uprzejmości. Przepraszam. Za wszystko. Po prostu... po prostu nie chciałam stracić... Możesz mi wybaczyć?

- Kochanie, pogadamy później.

- Craig?

- Tak, słucham. - Był wściekły, że nie może porozmawiać z nią sam na sam, przekonać, że wszystko będzie dobrze, sprawić, żeby w to uwierzyła.

- Jeśli... jeśli nie będziemy już mieli okazji porozmawiać...

- Temple, trzymaj się...

- Jeśli nie będziemy mieli tej okazji - mówiła coraz szybciej - muszę to teraz powiedzieć. Dużo myślałam... o nas. O tym, co się stało... tamtej nocy. Cieszę się, że byliśmy razem. Mogłabym się nigdy nie dowiedzieć... Byłam straszną idiotką, Craig. Teraz wszystko widzę jasno.

- Temple... - Craig odwrócił się plecami do kolegów na wieży i ściszył głos. - To nie ta sceneria. Powinny być świece, wino, ty w moich ramionach, a nie w jakiejś cholernej maszynie dwa tysiące metrów nad ziemią, skoro mnie tam nie ma. Kiedy wylądujesz, porozmawiamy o wszystkim...

Temple chyba wcale nie słyszała, co do niej mówi.

- Opowiedziałam o nas babci - ciągnęła. - O tym, że się bałam. Ona jest bardzo mądrą kobietą. Te rzeczy nie zmieniły się tak bardzo od czasu, kiedy była młoda. Przekonała mnie, że w tym, co do ciebie czuję, nie ma

nic złego. Wprost przeciwnie. Ja tylko nie wiedziałam, co to było. I nie wiedziałam, co ty czujesz. Pamiętam, że postanowiliśmy więcej o tym nie rozmawiać...

Craig nagle przypomniał sobie, że jest w pomieszczeniu pełnym ludzi i wszyscy słyszą ich rozmowę. Popatrzył na jedną z kontrolerek ruchu lotniczego. W jej ciemnych oczach malowało się wyraźne oskarżenie. Na pewno myślała, że Craig jest największym głupkiem wszechczasów. Gotów był się w tej chwili z nią zgodzić.

Mężczyźni przyglądali mu się z zaciekawieniem.

- Temple - zaczął.

- Proszę, nie przerywaj mi. Muszę to powiedzieć na wypadek...

Chcę, żebyś wiedział. Ja o tym wiem od tygodni. Nie mogłam jedynie przyznać się do tego przed samą sobą. Rozumiesz, zasada niewiązania się z lotnikami. Poza tym Nancy... Wiem, to tylko wymówki, przykrywka dla strachu. Ale... nie mogę odejść, nie powiedziawszy ci...

- Nigdzie nie odchodzisz, Temple! Co z twoim przeszkoleniem?

- Pół godziny temu zapomniałam wszystkie słowa, które wbijano mi go głowy.

Craig zamknął oczy. Dlaczego nie mógł teraz wziąć jej w ramiona, powiedzieć, że czuje to samo, co ona.

- Kocham cię, Craig. Już od dawna... - Głos Temple załamał się.

Craig zacisnął dłonie. - Byłam zbyt ślepa... by to rozpoznać.

- Temple...

Wśród zgromadzonych na wieży ktoś pociągnął nosem. Craig obejrzał się. Kontrolerka, która jeszcze niedawno patrzyła na niego z naganą, teraz miała łzy w oczach.

- Nie przerywaj mi - ciągnęła Temple. - Tamtej nocy w Houston wcale nie spałam. Wiem, że się kochaliśmy. Rozmyślnie cię zachęcałam, bo musiałam się dowiedzieć... Zakochałam się w tobie i to mnie przeraziło - wyrzucała z siebie słowa jak karabin maszynowy. - Byliśmy sobie tak bliscy. Bałam się, że wszystko się zmieni. Ja... ja nie... - zaszlochała. - Nie chciałam stracić tego, co mamy, dlatego nie pragnęłam niczego więcej. Wszystko się teraz zmieniło, prawda? Nic już nie będzie tak samo między nami, jak wtedy, zanim...

- Temple, później o tym porozmawiamy...

- Nie, Craig! Nie mam już czasu do stracenia. I tak zbyt wiele go straciłam do tej pory. Znam wszystkie twoje myśli, wiem, co lubisz, a czego nie znosisz. Zawsze mogliśmy porozmawiać na każdy temat. Dlatego nasz związek był taki szczególny, taki wyjątkowy. Nie chciałam tego stracić. - Zaśmiała się lekko. - No cóż, teraz znamy się lepiej niż kiedykolwiek przedtem, prawda? Po prostu... Po prostu chciałam się dowiedzieć, jak to jest, kiedy człowiek się zakocha. Teraz już wiem. Przynajmniej wiem, co to znaczy zakochać się w tobie. - Zamilkła na chwilę. - To jest piękne - wyszeptała. - Niczego wspanialszego nie można doświadczyć. To tak... jakby urodzić się ponownie. Wszystko inaczej wygląda, inaczej smakuje... Zawsze każdego dnia czekałam, kiedy cię zobaczę. Ale teraz... Teraz nie mogę oddychać, dopóki cię nie zobaczę... Zapanowała cisza.

- Temple, co się dzieje? - Craig wyprostował się na krześle.

- Próbują lądować - powiedział jeden z kontrolerów na wieży. - Pozostałe maszyny są już na ziemi. Jedna wpadła w poślizg i zeszła z pasa startowego. Jest nieco uszkodzona, ale w sumie nieźle to wygląda.

Oczyszczają drugi pas i postarają się tam sprowadzić Dave'a. Musi spróbować na nim usiąść. To jego jedyna szansa.

- Co z wiatrem?

- Prędkość nieco zmalała. Deszcz też trochę mniejszy. Zawsze to coś.

- Craig - usłyszał znowu głos Temple - Dave gotów do lądowania.

Muszę kończyć. Do zobaczenia. Kocham cię.

Połączenie zostało przerwane.

Craig opadł na krzesło i otepiałym wzrokiem wpatrywał się w mikrofon. Oczy go piekły.

Niech to diabli! Nie zdążył powiedzieć Temple, że ją kocha.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Panie i panowie, podchodzimy do lądowania Proszę zapiąć pasy, położyć poduszki na kolanach, oprzeć na nich głowy, osłonić je rękami. - I modlić się, dodała cicho Temple.

Spojrzała w oczy Sarah, drugiej stewardesy. Zobaczyła w nich odbicie własnego strachu.

- Kiedy samolot dotknie pasa startowego, poczujecie państwo uderzenie. Proszę nie opuszczać foteli, dopóki maszyna się nie zatrzyma. Na dany sygnał proszę wstać i przejść szybko w stronę wyjścia. Uwaga, rodzice. Dzieci należy trzymać przed sobą i nie puszczać ich ani na chwilę. Na płycie lotniska wydostaniecie się państwo przez rękaw ewakuacyjny. Ja i Sarah pomożemy każdemu przygotować się do zjazdu, natomiast na dole odbierać was będzie brygada ratunkowa. Czy są jakieś pytania?

W kabinie samolotu słychać było jedynie pracujące silniki i kwilenia dzieci.

Temple latała od lat, jednakże po raz pierwszy znalazła się w niebezpieczeństwie. Kiedy wcześniej Dave wezwał ją do siebie, sadziła, że po prostu chce się napić kawy. Z trudem przyjęła do wiadomości informację o krytycznym położeniu, w jakim się znaleźli na skutek nagłego załamania pogody. Napięta twarz kapitana świadczyła o tym, że sytuacja naprawdę jest poważna

- Jesteśmy gotowe - oznajmiła teraz, zaglądając do kabiny pilotów.

- Lądowanie będzie twarde - powiedział Dave. Wróciła do pasażerów, zajęła swoje miejsce i zapięła pasy.

Kocham cię, Craig, pomyślała. Szkoda, że nie dano nam więcej czasu.

Pochyliła się do przodu, objęła głowę rękami i zaczęła się modlić. Starła się nie myśleć o pokrytym warstwą lodu samolocie i śliskim pasie startowym.

Samolot ciężko uderzył o ziemię, potem dwa razy podskoczył. Temple usłyszała, że podnoszą się kłapy. Po trzecim podskoku wpadł w poślizg. Pasażerowie czuli, jak rzuca nimi na boki. Samolot skręcił i pędził dalej; słychać było przeraźliwy zgrzyt hamulców. Trwało to w nieskończoność. W pewnej chwili nastąpiło uderzenie, przechył, poślizg i nagle maszyna znieruchomiła.

W niewielkiej kabinie zapadła martwa cisza. Temple słyszała głucho uderzenia własnego serca. Policzyła do pięciu, odpięła pasy i wstała.

- Pchnąć drzwi! - krzyknęła. - Odpiąć pasy! Szybko!

Kobiety z małymi dziećmi jako pierwsze zjechały na płytę lotniska. Padał marznący deszcz, migwały niebieskie światełka karetek, trzaski z nadajników mieszały się z okrzykami personelu.

Każdy z pasażerów, który dotknął płyty lotniska, kierowany był do ogrzewanego autobusu. Kiedy ostatni z nich opuścił samolot, do zjazdu przygotowali się członkowie załogi.

W autobusie Temple ścisnęła dłoń Dave'a DeCosty.

- Dziękuję za ocalenie nam życia - szepnęła.

W poczekalni dworca lotniczego czekała na wszystkich gorąca herbata, kawa, czekolada i jedzenie. Kiedy wylądowywano bagaże i zabezpieczano samolot, pasażerowie mogli zatelefonować do rodziny.

Parę godzin później członkowie załogi zakończyli odprawę. Temple dwa razy wzywano do telefonu; po raz pierwszy musiała zapewnić Craiga, że bezpiecznie wylądowała, po raz drugi powtórzyć mu, że na pewno wszystko jest w porządku.

Kiedy w końcu dotarła do hotelu, minęła już północ. Nie miała nawet siły, by wziąć prysznic.

Zdjęła tylko służbowy uniform i doczołgała się do łóżka. Ledwo przyłożyła głowę do poduszki, zasnęła jak kamień.

Następnego ranka cała załoga samolotu odlatywała do Dallas w charakterze pasażerów. Temple wyglądała przez okno. Świeciło słońce i choć budynki nadal pokrywała lodowa warstwa, pasy startowe były już oczyszczone. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Ubiegłej nocy wszystko było takie przerażające. Jak szybko następują zmiany, pomyślała.

Wczorajsze wydarzenia odmieniły jej życie. Najważniejsze było to, że w ogóle żyła. Dave DeCosta otrzymał pochwałę za bezpieczne

wylądowanie bez uszkodzenia samolotu. Poza kilkoma rysami i drobnymi wgnieceniami maszyna nie doznała większego szwanku.

W chwili startu Temple poczuła ucisk w żołądku, który zelżał, kiedy samolot wyrównał lot. Zdała sobie sprawę, że wkrótce znajdzie się z powrotem w Dallas. Z jednej strony nie mogła się doczekać tej chwili, choć z drugiej obawiała się spotkania twarzą w twarz z Craigiem i całym personelem wieży, który słyszał jej intymną rozmowę przez radiotelefon. Jak mogła zrobić z siebie taką idiotkę? Wyznać wszystko, co zaszło tamtej nocy w Houston? Wszystko, nad czym tak długo próbowała przejść do porządku dziennego. Teraz każdy znał jej sekret: przyjaciele, współpracownicy, Craig. Jak sobie z tym poradzić?

Miała także świadomość, że jej dalsze życie zawodowe również stoi pod znakiem zapytania. Po raz pierwszy o włos uniknęła nieszczęścia. Straciła pewność siebie. Wiedziała, że w lotnictwie zdarzają się wypadki, ale zawsze dotyczyło to innych, nie jej. Czy po tym, co się stało, będzie zdolna kontynuować pracę?

Kiedy stewardesa przez mikrofon podziękowała pasażerom za wspólny lot i poleciła zapiąć pasy bezpieczeństwa, poczuła ukłucie strachu przed lądowaniem.

Za dziesięć minut będzie przemierzała hol dworca lotniczego. Wszyscy już tam wiedzą o jej miłości do Craiga. Koniec z udawaniem: „Craig jest tylko przyjacielem”. Dobrze sobie! Nic dziwnego, że Ginny czy Flo nie wierzyły w jej gorące zapewnienia, że to prawda. Od początku nie miały złudzeń, co Temple do niego czuje. Wysiadła z samolotu jako ostatnia, z nadzieją, że uda jej się niepostrzeżenie przemknąć przez hol. Nic z tego.

- Temple! Temple! - krzyczała Ginny, podskakując na czele tłumu pracowników portu, którzy czekali na członków szczęśliwie ocalałej załogi.

Temple zapragnęła dać drapakę, lecz po chwili wahania z uśmiechem na ustach ruszyła w stronę Ginny. Kiedy ta zazwyczaj złośliwa kelnerka chwyciła ją w objęcia i serdecznie wyściskała, Temple, ledwo powstrzymując napływające do oczu łzy, przytuliła się do niej mocniej.

- Tak się baliśmy - powiedziała Ginny.

- Ja byłam mokra ze strachu - przyznała Temple.

Rozejrzała się po tłumie. Craiga nie było. Zwierzyła się ze wszystkiego, co dotąd głęboko ukrywała, a on wcale nie chciał tego wysłuchiwać.

- Wczoraj w nocy czekaliśmy tu dopóty, dopóki Chicago nie podało, że wylądowaliście szczęśliwie - opowiadała Ginny. - Potem i tak nie mogłam zmrużyć oka. Chciałam zadzwonić, ale wiedziałam, że nie będziesz miała czasu na rozmowy.

- Rzeczywiście byłam zajęta Teraz czuję się kompletnie wyczerpana. Wydaje mi się, że mogłabym spać przez tydzień.

Inni koledzy podchodzili do niej, by uścisnąć jej rękę czy poklepać po ramieniu. Temple była wzruszona tak ciepłym powitaniem. Jacy to wspaniali ludzie, pomyślała.

W końcu wszyscy wrócili do swoich zajęć. Temple ruszyła do wyjścia. Dotykała już dłonią klamki drzwi, kiedy go zobaczyła.

Craig stał na parkingu, oparty o karoserię swojego samochodu. Miał na sobie wąskie, wytarte dzinsy i jasnoniebieską koszulę z niedbale rozpiętym pod szyją kołnierzykiem i podwiniętymi rękawami. Nigdy dotąd tak świetnie nie wyglądał.

Wyraźnie na nią czekał. Temple zawahała się, po czym pchnęła drzwi.

- Cześć - rzucił niedbale.

- Cześć - odparła.

Stała z podręczną torbą w dłoni i nie wiedziała, co powiedzieć. Craig dwa razy wczoraj telefonował, by się dowiedzieć o jej samopoczucie.

Dlaczego nie zadzwonił po raz trzeci?

- Ja też.

- Co „też”? - zdziwiła się Temple.

- Czuję to samo, co ty. Temple zarumieniła się.

- Craig, jeśli chodzi o ostatnią noc...

- Wsiadaj - przerwał jej, wskazując siedzenie pasażera w lincolnie.

- Mój samochód...

- Powiedziałem: wsiadaj - powtórzył.

Posłusznie zajęła miejsce, a Craig usiadł za kierownicą i wyjechał z parkingu. Wstrzymała oddech, czekając, co teraz powie. Jego milczenie mocno ją zdziwiło. Oparła głowę na siedzeniu i wyglądała przez okno. Zmierzali w stronę jej domu.

- Pewnego razu musiałem skakać - przerwał ciszę Craig. - Poczułem wtedy taki przyływ adrenaliny, że długo nie mogłem się otrząsnąć. Kiedy znalazłem się na ziemi, spałem przez dwa dni.

Temple uśmiechnęła się lekko. Craig rozumiał, jak ona się czuje. No cóż, w końcu zawsze tak było.

Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Za chwilę się zacznie, pomyślała. Dowie się, jaką była idiotką. W dodatku niedyskretną.

- Wiesz o tym, że mnie nastraszyłaś.

- Sama również jestem przerażona. Nie wiem... czy mogę wrócić do pracy.

Craig patrzył przed siebie, lekko poruszając kierownicą.

- Zaproponowano mi pracę w prywatnych liniach na Florydzie - powiedział.

Serce Temple zaczęło bić jak szalone. Czyżby aż tak go wystraszyła tą publiczną spowiedzią, że chce stąd uciekać?

- Rozważasz tę ofertę? - spytała najbardziej obojętnym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

- Proponują cholernie dużo forsy... Tak, rozważam.

Właściwie dlaczego nie miałyby zmienić pracy? Więcej pieniędzy, ciepły klimat. Słońce, kojąca bryza, piękne kobiety w skąpych bikini...

Gwałtownie odwróciła twarz ku oknu, gdyż nieposłuszne łzy pociekły jej po policzkach.

Craig objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej do siebie.

- Tak jest lepiej - powiedział.

Westchnęła i oparła głowę na jego piersi. Poczwała bicie jego serca. Jak będzie wyglądało jej życie, kiedy zabraknie w nim Craiga? Floryda nie leży co prawda na końcu świata, ale oboje mają swoje sprawy, obowiązki, które ich rozdziela.

- Craig, przepraszam cię za to, co zaszło ubiegłej nocy. Powinnam była zdawać sobie sprawę, że się wygłupiam, ale myślałam, że zginę i nigdy już nie zdołam ci powiedzieć...

Przerwał jej przeprosiny nagłym pocałunkiem.

- Przedyskutujemy to po powrocie do domu.

- Chcę porozmawiać z babcią - wymamrotała Temple, nim sen ją zmorzył.

Resztę drogi spędziła, drzemiąc z głową opartą na ramieniu Craiga.

- Wstawaj, śpiochu. - Delikatnie trącił ją w ramię, kiedy zatrzymali się na parkingu przed jej domem. - Zrobisz mi śniadanie.

Teraz mi wygarnie, pomyślała. Czekał, aż dojedziemy na miejsce. Zamknął mi usta pocałunkiem tylko dlatego, żebym nie nagadała większych głupstw. Przyzna, że powinniśmy pozostać jedynie przyjaciółmi. Wyjedzie na Florydę, a ja zostanę w Dallas.

Mimo burzliwych wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin mieszkanie czekało ciepłe i przytulne jak zawsze. Jak dobrze, że jest w życiu coś stałego, westchnęła Temple. Cisnęła torbę podróżną na podłogę i zrzuciła z nóg pantofle.

- Muszę wziąć prysznic - oświadczyła

- Tylko się pospiesz. Zaparzę kawę i zrobię jajecznicę. Masz może bekon?

Temple zniknęła w sypialni. Craig wrzucił na patelnię paseczki bekonu, włączył telewizor i rozsiadł się, czekając na przyjaciółkę. Bekon zdążył się przysmażyć, a z łazienki ciągle dobiegał szum wody. Craig wbił jajka na patelnię, upiekł grzanki i postawił na stole słoik z truskawkowym dżemem. Minęło kilka minut, nim Temple pojawiła się w końcu, ubrana w biały szlafrok, z wilgotnymi włosami szczesanymi na tył głowy.

- Śniadanie pachnie wspaniale - stwierdziła.

Wyjęła z szafki niebieskie kubki. Niech on wreszcie zakończy całą sprawę, powie cokolwiek, błagała w duchu. Kiedy poczuła, że objął ją z tyłu ramieniem, z wrażenia upuściła kubek na blat.

- Trochę jesteś dziś nerwowa, co, Burney? - Dotknął ustami jej karku, jednocześnie rozluźniając wiązanie szlafroka.

Temple całkiem zapomniała o kawie.

- No dobrze, czekam - szepnęła.

Craig delikatnie całował jej szyję, potem przesunął wargi na koniuszek ucha.

- Jestem wściekły na ciebie jak diabli. - Każde słowo znaczył kolejnym pocałunkiem.

- Wiem... nie powinnam była... nie wiedziałam, że wszyscy na wieży słuchają...

Craig nigdy przedtem nie dotykał jej w tak intymny sposób. Teraz gładził dłońmi jej brzuch, przyciskając ją do siebie.

- Pozwól mi skończyć, dobrze? - uciał jej wywody.

- Przepraszam.

- Ubiegłej nocy przerwałaś rozmowę, zanim zdążyłem ci odpowiedzieć.

- Czyżbym cię o coś spytała? - Niektóre wydarzenia zatarły się w jej pamięci.

- Nie, ale nie dałaś mi szans, bym zareagował na twoje słowa.

- Wobec tego słucham. - Pochyliła głowę, by lepiej odsłonić szyję. -

Co chcesz mi powiedzieć?

Craig wsunął rękę pod szlafrok i dotknął piersi Temple.

- Że cię kocham. Chyba się przesłyszała.

- Craig, ja...

- Kocham cię - powtórzył.

Serce Temple zaczęło bić jak szalone.

- Wyobrażam sobie nas razem, jako przyjaciół i kochanków. Męża i żonę. Mamę i tatę. Babcię i dziadka

- Craig...

Teraz pocałował ją mocniej. Zbliżając wargi do jej ust, wyszeptał:

- Do diabła z głupimi randkami. Wyjdiesz za mnie?

- Tak.

Nie musiała ani chwili zastanawiać się nad odpowiedzią. Ostatnio o niczym innym nie myślała.

- Żadnego przekonywania, że mamy być „tylko przyjaciółmi”?

- Żadnego.

Ręce Craiga coraz śmielej błędziły po jej ciele.

- Naprawdę? Nie przeszkadza ci poślubienie najlepszego przyjaciela?

- mruknął. - Mimo iż jest pilotem?

Potrząsnęła głową. Po raz pierwszy w życiu zgodziła się na coś bez słowa.

- Koniec z szukaniem „właściwego mężczyzny”. Koniec z randkami.

- Definitywnie.

- Najwyższy czas - westchnął.

Całowali się długo, mocno, aż do utraty tchu.

- Oj, Burney, Burney - westchnął, kiedy w końcu na chwilę, rozłączyły się ich usta.

Delikatnie ściągnął z niej szlafrok i odsunął się o krok, by popatrzeć na jej nagie ciało.

- To nie w porządku - powiedziała miękko.

- Co? - zdziwił się.

- Ciągłe jesteś ubrany.

Uśmiechnął się, w policzku utworzył mu się dołeczek, który Temple tak uwielbiała. Powoli zaczął rozpinąć koszulę.

- Tamtej nocy w Houston chciałaś mnie podrażnić.

- Nieprawda - zaprzeczyła.

Jej oczy pociemniały, przypominając mu, co wtedy zaszło.

- Masz rację. Byłem całkiem usatysfakcjonowany.

- Chcesz usłyszeć coś gorszego? - Temple uśmiechnęła się szelmowsko.

- Słucham.

- Wcale nie było mi aż tak zimno.

- A chcesz się dowiedzieć czegoś jeszcze gorszego? Popatrzyła na Craiga podejrzliwie.

- Mów.

- Przed pójściem do łóżka wyłączyłem ogrzewanie.

- Nie zrobiłeś tego!

- Właśnie że tak!

Zimna jajecznica na bekonie stała zapomniana na stole.

- Cieszę się!

- Naprawdę?

- Naprawdę - szepnęła, przyciągając Craiga do siebie. Znowu się całowali, jego ręce poczynaly sobie coraz śmieiej.

- Nie marzysz o łańcuchach i kajdanach, prawda?

- O czym? - Temple wybuchnęła śmiechem.

- A może podniecają cię stopy? - dopytywał się Craig, niosąc ją na rękach do sypialni.

O czym on, do diabła, mówi? pomyślała. A właściwie, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

Nie ma, uznała, kiedy wyglodniałe usta Craiga znowu zaczęły szukać jej warg. I nie tylko.

EPILOG

„Droga Babciu!

Postaw na stole dwa dodatkowe nakrycia. Przylatujemy do Dallas w sobotę rano i prosto z lotniska jedziemy do Ciebie.

Nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę! Craig i ja mamy dla Ciebie wspaniałą niespodziankę.

Całuję mocno Tootie”

- Gdzie jesteś, kochanie? - spytał Craig.

- W swoim pokoju. Piszę do babci. - Temple zakleiła kopertę i poklepała się po brzuchu, wzdychając z zadowoleniem.

- Gaśienice niszczą nam trawnik. - Craig wszedł do pokoju, pochylił się nad żoną i ucałował ją we włosy. Delikatnie pogłaskał jej brzuch. - Wpadniemy gdzieś na lody?

- Czekoladowe z bitą śmietaną?

- Jakie sobie życzysz. - Kiedy zamierzała wstać z krzesła, podał jej rękę, i raz jeszcze dotknął jej brzucha. - Jak się dziś miewa junior? - szepnął.

- Pamiętaj, że to może być dziewczynka - ostrzegła Temple.

- Wiem. Mam nadzieję, że równie piękna jak jej mama. Przytulili się do siebie mocno i pocałowali namiętnie. Nigdy nie skąpili sobie czułości. Kiedy ich wargi w końcu się rozdzieliły, Craig uśmiechnął się ciepło.

- Dlaczego po prostu nie zadzwonisz do babci i nie przekażesz jej nowiny? - spytał.

- Bo chciałabym zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy się dowie, że w końcu zostanie prababcią.

Craig raz jeszcze pocałował żonę, tym razem w czubek nosa, i poszedł do kuchni po zimne napoje.

- Powiedziałaś babci, że chcemy z nią spędzić cały tydzień?

- Tak, bardzo się ucieszyła. Odkąd przeprowadziliśmy się na Florydę, widujemy się o wiele rzadziej, niżbym chciała.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pomoże nam świętować przedsięwzięcie. W końcu nie co dzień zostaje się właścicielem czarterowej linii lotniczej.

Temple postanowiła, że ona i Craig urządzą sobie własne święto, kiedy goście już się rozejdą.

- Wiesz, kochanie, mam nadzieję, że Thia polubi Keitha. Tworzyliby wspólną parę - rozmarzyła się.

- Bądź ostrożna - ostrzegł Craig. - Keith zwiewa, gdzie pieprz rośnie, na samą wzmiankę o małżeństwie.

- Wiem, Thia zachowuje się podobnie, ale oboje wydają się wprost stworzeni dla siebie.

- Masz rację. - Craig objął Temple ramieniem i poprowadził w stronę drzwi garażu. - Jak się nazywa ten nowy pilot? Neil Petersen? Niedawno się tu sprowadził i wydaje się taki samotny. Kiedy opowiadam mu o tobie i dziecku, widzę w jego oczach prawdziwą tęsknotę. Czy twoim zdaniem Sue byłaby zainteresowana...?

- Sue? Co prawda nie cierpi, kiedy ją „ustawiamy”, jak to nazywa, ale oczywiście po powrocie od babci zrobię jakąś małą kolacyjkę.

Zadzwońię do niej i dowiem się, kiedy będzie w mieście. Znowu wróciła

na regularne linie. Zmęczyły ją międzynarodowe trasy. Tak, zaprosimy ją i Neila za dwa tygodnie, dobrze?

- Znakomicie.

- Przygotuję zrazy.

- Jesteś wspaniała - Craig mocniej przytulił żonę i jeszcze raz ją pocałował.

- Posłuchaj, zachowujemy się całkiem jak Scotty i Steph! - zawołała nagle Temple.

- Naprawdę? - Craig roześmiał się głośno. - Skądże znowu!

- Masz rację - zgodziła się Temple. - To zupełnie co innego. Sue jest naszą serdeczną przyjaciółką. Doprawdy wstyd, że dotąd nie znalazła odpowiedniego mężczyzny. Przecież nie bawimy się w swatów, lecz jedynie działamy z troski o nią...

- Tak trzeba - przyznał Craig.

- Jak najbardziej.

Craig otworzył drzwi garażu i pomógł żonie pokonać niewielki stopień. Na miejscu lincolna stał nowy, czterodrzwiowy ford.

- Wobec tego napomknę Neilowi, żeby wpadł do nas na małą kolację, a ty umów się z Sue...